Katarzyna Żemojcin-Cibulskė: „Mniej nienawiści jeden do drugiego” | Złoty czas na robienie przetworów
Nastolatek już wzdycha na myśl o wrześniu | Koniec lata w Pokrojach | Polacy ujarzmiają króla wód

KURIER WILEŃSKI
MAGAZYN

22-28 sierpnia 2026 r.
Nr 33 (95)

Wydanie magazynowe
polskiego dziennika na Litwie
Cena: 1 euro

Tysiąc kilometrów w szczytnym celu

„Żukiem dla Życia”

Ponad tysiąc kilometrów, siedmioosobowa ekipa i 64-letni Żuk, który w PRL-u jeździł po chleb i listy – tak w tym roku wygląda jedna z nietypowych akcji charytatywnych łączących Polskę i Litwę.

Od 4 do 13 września zabytkowy Żuk A-06 rocznik 1962 przejedzie z Krakowa do Wilna, by wesprzeć hospicjum dla dzieci i dorosłych, prowadzone przez s. Michaelę Rak. Cel: zebrać równowartość jednego miesiąca utrzymania placówki – ok. 350 tys. zł, czyli 90 tys. euro.

ISSN 1392-0405

Fot. mat.pras. organizatorów; Projekt okładki Apolinary Klonowski

eprasa.pl d33df1a7a6

KALENDARIUM

22 sierpnia

1943 – przez tydzień upojeni alkoholem funkcjonariusze Sonderkommando dokonywali likwidacji getta wileńskiego. Kobiety, starców i dzieci stracono. Młodych mężczyzn zdolnych do pracy wywieziono do Werenowa i Kowna. Było to dla Niemców łatwe, gdyż przez dekadę byli poddawani praniu mózgów, co po wojnie zostało zbadane.

23 sierpnia

1939 – w Moskwie Związek Sowiecki i III Rzesza podpisały pakt z tajnym protokołem. W nim podzielono Europę Wschodnią na strefy wpływów. Linia podziału przebiegała m.in. przez północną granicę Litwy. Naziści i Sowieci w Brześciu zorganizowali niemal dokładnie miesiąc później wspólną defiladę „na trupie Polski".

24 sierpnia

1572 – w wigilię Świętego Bartłomieja katoliccy rojaliści wymordowali z zimną krwią 20 tys. hugenotów (ewangelików reformowanych). Nie minął nawet rok, a jeden ze sprawców tej masakry, Henri de Valois, książę Andegawenii, zasiadł na tronie Rzeczypospolitej jako następca ostatniego z Jagiellonów. Krótko panował.

25 sierpnia

1939 – dwa dni po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow Polska i Wielka Brytania zawarły układ sojuszniczy. Londyn zobowiązał się do udzielenia Polsce pomocy wojskowej w razie agresji. Gdy 17 września Sowieci zaatakowali od Wschodu, Brytyjczycy przypomnieli, że sojusz dotyczył wyłącznie napaści Niemiec.

26 sierpnia

1926 – Piłsudski wypoczywał w Druskienikach. Od linii demarkacyjnej z Litwą dzieliła go jedynie szerokość Niemna. Zapytano, czy się nie boi. „Ktoś mi mówił jakoby na serio, że [Litwini] chcieli zaprosić mnie (...) na króla". Żartował, że wtedy już musiałby przyłączyć Polskę do Litwy; zastanawiał się, czy nie krwawo.

27 sierpnia

1944 – rektor działającego w konspiracji Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, Stefan Ehrenkreutz, odmówił Jerzemu Putramentowi – posłańcowi Bolesława Bieruta, który tworzył komunistyczne rządy w Polsce – popierania nowej władzy. Aresztowany przez NKWD i torturowany w więzieniu. Wyczerpany zmarł 21 lipca 1945 r.

28 sierpnia

1994 – nowe przepisy na Litwie wykluczyły organizacje społeczne z wyborów. Do wyborów startować mogą tylko partie. W związku z tym Związek Polaków na Litwie po zebraniu 739 podpisów odbył zjazd założycielski i powołał do życia Akcję Wyborczą Polaków na Litwie. Przewodniczącym wybrany został Jan Sienkiewicz.

Apolinary Klonowski,
zastępca red. nacz. ds. online

Czym różnimy się od cymbała?

Gra słów w tytule nieprzypadkowa. W tym numerze o cymbałach piszemy podwójnie. Raz piszemy o wielkim powrocie cymbałów wileńskich, a potem – jak nie stać się cymbałem.

„Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie znał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący". Cymbał, czyli w tym znaczeniu – pusty. Słowa te, niezależnie od tego, do kogo się kto modli, powinny być dla każdego myślącego człowieka przypomnieniem, co się w życiu liczy – i nie zawsze liczy się to, co się liczy w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Opieka nad słabszymi i chorymi nie opłaca się, nie przynosi bezpośrednich zysków. Tak jak bronienie się przed silniejszym – bardziej opłaca się ulec i mieć to już za sobą. Nie opłacają się wszelkie muzyki, sztuki i miłości. Ale bez tego – życie ludzkie niczym nie różni się od zwierzęcego. A jakkolwiek by ktoś darzył miłością swojego pupila – człowiek od zwierzęcia różni się tym, że ma zdolność (obowiązek!) reflektowania oraz patrzenia dalej niż dziś czy jutro.

> Nie opłacają się wszelkie muzyki, sztuki i miłości. Ale bez tego – życie ludzkie niczym nie różni się od zwierzęcego.

Z pięknym przesłaniem jedzie do naszego Wilna Żuk, stary typ polskiego busa. Wolontariusze organizują wycieczkę, aby zebrać pieniądze na działalność wileńskiego hospicjum pod kierownictwem s. Michaeli Rak. Z hospicjum „Kurier Wileński", można powiedzieć, zna się od początku – i mamy zaszczyt, że możemy opisywać tę piękną misję naszym Czytelnikom. Gdyż misja hospicjum to piękny obraz właśnie miłości.

W tym numerze podchodzimy do miłości z każdej strony. Miłość jako pasja – pilota Wiktora Mentelisa, który podkreśla, że choćbyś najlepszych miał instruktorów, ale nie masz „tego czegoś" – pilotem nie zostaniesz. Miłość małżeńska, łącząca wszystkie wspomniane „rodzaje" miłości, w opowiadaniu cymbalistki Katarzyny Żemojcin-Cibulskė. Miłość jako patriotyzm, w podsumowaniu wrażeń po mrągowskim festiwalu. No i wreszcie prawdziwy Caritas – miłosierdzie w pięknej misji Hospicjum bł. ks. Michała Sopoćki w Wilnie.

Miłość jest jak prawda – wbrew pozorom sama się nie obroni. Pomóżmy jej. Albo będziemy jak ten cymbał brzmiący.

Apolinary Klonowski

KURIER WILEŃSKI MAGAZYN Ukazuje się od 1953 r. Birbynių g. 4a, LT-02121 Wilno, Republika Litewska, tel. +370 526 084 44; **Redaktor naczelny:** Robert Mickiewicz. **Zastępcy redaktora naczelnego:** Brygita Łapszewicz, Apolinary Klonowski. **Sekretarz redakcji:** Piotr Łukasik. **Dziennikarze:** Honorata Adamowicz, Justyna Giedrojć, Brenda Mazur, Antoni Radczenko, Rajmund Klonowski. **Stali współpracownicy:** Piotr Hlebowicz, Elżbieta Monkiewicz, Tomasz Otocki, Anna Pawiłowicz-Janczys, Tomasz Snarski, Jarosław Tomczyk. **Fotoreporterzy:** Marian Paluszkiewicz. **Skład i łamanie:** Halina Taukin. **Dział Online:** Janina Jarosz, Jolanta Balkiewicz, Apolinary Klonowski. **Dział promocji:** Andrzej Podworski – prenumerata (kolport@kurierwilenski.lt) i reklama (tel. 260 84 44, reklama@kurierwilenski.lt). **Wydawca:** VšĮ „Kurier Wilenski", Birbynių g. 4A, LT-02121 Wilno. **Druk:** VšĮ „Vilnijos žodis". Nakład: 2500 egz.

Zadanie współfinansowane ze środków Kancelarii Senatu w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2026 roku. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Senatu RP, Kancelarii Senatu RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie" im. Jana Olszewskiego.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Opinie Czytelników zawarte w ich listach nie zawsze są zbieżne z opinią redakcji.

Fundacja POMOC POLAKOM NA WSCHODZIE im. Jana Olszewskiego

FEDERACJA MEDIÓW POLSKICH NA WSCHODZIE

DZIENNIK NALEŻY DO EUROPEJSKIEGO STOWARZYSZENIA GAZET CODZIENNYCH MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH MIDAS

eprasa.pl d33df1a7a6

Zdjęcie tygodnia: Litewska złota rybka »4

Rajmund Klonowski: Niewiarygodne opowieści »5

Jarosław Tomczyk: Urlopowe refleksje »5

1000 kilometrów w szczytnym celu »6-8

Od 4 do 13 września zabytkowy Żuk A-06 przejedzie z Krakowa do Wilna, by wesprzeć wileńskie hospicjum prowadzone przez s. Michaelę Rak. O inicjatywie opowiada Piotr Szymański.

Zaczęło się od sprzedanej łodzi Wilniuka »10-11

O równe warunki dostępu do sportu »12-13

Sport powinien być dostępny dla każdego mieszkańca Litwy. Rząd uruchamia nowy program rozwoju infrastruktury sportowej, na który do 2028 r. przeznaczy 46 mln euro.

Mniej nienawiści jeden do drugiego »14-17

Miłość jest tym uczuciem, które sprawia, że nawet obieranie ziemniaków ma inny sens, nie wspominając już o takich wrażliwych momentach jak twórczość czy muzyka – opowiada Katarzyna Žemojcin-Cibulskė.

Pocopotek: Blaszane garnitury »18-19

„Nie chcę wracać do szkoły…" »20-21

Nie diagnozujmy dziecka na podstawie jednego zdania. Nastolatek, który wzdycha na myśl o wrześniu, nie musi mieć problemów w szkole. Może po prostu nie chce, żeby wakacje się kończyły.

Dziesięć sierpniowych słoików »22-23

Sierpień i wrzesień to prawdziwy złoty czas na przetwory. Ogrody warzywne i sady pękają w szwach od zbiorów pomidorów, papryki, bakłażanów, cukinii, cebuli, czosnku i jabłek.

CRINK, czyli oś rozbójników »24-25

Czołowe autokracje świata – Chiny, Rosja, Iran i Korea Północna – w coraz większym stopniu czerpią ze wzajemnych zasobów, potencjału wojskowego i wpływów, aby oprzeć się presji Zachodu.

Z Wilna w stronę nieba »26-29

48 lat życia z lotnictwem – takim doświadczeniem może się pochwalić pilot Wiktor Mentelis, kapitan załogi, instruktor i egzaminator. Nadal czynny zawodowo: „Niebo nigdy mi się nie znudziło!".

Koniec lata w Pokrojach »30-31

Po latach niebytu pałac w Pokrojach to dzisiaj tętniące życiem „żywe muzeum". Przez Wiłkomierz z Wilna to ok. 180 km, dwie godziny jazdy autem. W sam raz na jednodniową letnią wycieczkę.

Polacy ujarzmiają króla wód »32-34

Można o nich mówić „polska sekta rybacka". „Rybaczenie" czy „rybałka", czyli wędkarstwo, wędkowanie jest pasją przenoszoną z pokolenia na pokolenie, o czym przekonują nas rozmówcy.

Krzyżówka »35

eprasa.pl d33df1a7a6

Litewska złota rybka podtrzymuje tradycję

17 sierpnia reprezentacja Litwy w pływaniu wróciła do Wilna z mistrzostw Europy w pływaniu, które odbyły się w Paryżu. W dumnej ekipie nie zabrakło Rūty Meilutytė. Tytułowana „litewską złotą rybką" Meilutytė podtrzymuje tradycję, zgodnie z którą z ME nie wraca się bez medali.

W tym roku najsłynniejsza pływaczka naszego kraju w Paryżu zdobyła kolejny złoty medal. W ubiegłą niedzielę 29-letnia Meilutytė wystartowała w finale na 50 m stylem klasycznym i ukończyła ten dystans na pierwszym miejscu. Jej wynik to 29,93 s.

Starty w Paryżu to pierwsze zawody Meilutytė od grudnia 2025 r., kiedy to brała udział w mistrzostwach Europy na krótkim basenie w Lublinie. Do ME w Paryżu pływaczka przygotowywała się bez trenera (przez ostatnie kilka lat był nim Tadas Duškinas), realizując indywidualny plan treningowy.

Fot. Andrius Ufartas, ELTA

Mamy w zespole redakcyjnym osobę,
która jest prawdziwym silnikiem napędowym naszej ekipy.

Drogi Apolinary,

z okazji 30. urodzin życzymy Ci wszystkiego najlepszego!
Podziwiamy Twoją pracowitość, rzetelność i energię.
Plotka głosi, że Twój zegarek nie zna nadgodzin,
a w kryzysie uratujesz kolegów i koleżanki w każdej dziedzinie.
Masz głowę pełną pomysłów i rzadki dar dyplomacji,
dzięki czemu nawet uwagi przekazujesz z taką delikatnością, że motywujesz do działania.
Życzymy Ci sukcesów, zdrowia i również bardzo ważnych chwil spokoju.
Bądź zawsze tak radosny, pełen pasji i otoczony ludźmi,
którzy doceniają Cię tak mocno, jak my. Sto lat!

Zespół redakcyjny „Kuriera Wileńskiego"

eprasa.pl d33df1a7a6

Niewiarygodne opowieści

Rajmund **Klonowski**

Znane z literatury fantastycznej powiedzenie: „wystarczająco rozwinięta technologia jest nieodróżnialna od czarów", w realiach internetowego komentowania polityki i historii może zostać sparafrazowane jako: „wystarczająco durny umysł wszędzie zobaczy teorię spiskową". A przyznać trzeba, że nic nie stworzyło takiej przestrzeni dla rozkwitu durnoty, jak sidła społecznościowe, zwane dla niepoznaki sieciami czy mediami społecznościowymi.

Rocznica kryminalnego paktu Ribbentrop-Mołotow jest ku temu dobrą okazją. Omamieni „mądrościami" z tiktoków samodzielni myśliciele „odkrywają", że umowy o nieagresji z Hitlerem podpisywała Polska w 1934 r., Dania w kwietniu 1939 r. czy Łotwa i Estonia w czerwcu 1939 r. – i że niby pakt Hitler-Stalin to nic takiego, a jego krytycy kierują się wyłącznie „rusofobią". Owszem, do czasu wywołania (wspólnie ze Stalinem) II wojny światowej umowy o nieagresji z agresywnymi sąsiadami były rzeczą dość rozpowszechnioną. Jest zasadnicza różnica – żadna z tych umów nie miała dodatkowego, tajnego protokołu, w jaki wyposażony był pakt Ribbentrop-Mołotow. A w tym tajnym protokole właśnie Stalin umawiał się z Hitlerem na wspólne rozpoczęcie wojny światowej i podział Europy na strefy wpływów. Tym się właśnie różniła ta umowa od różnych porozumień o nieagresji; i nie ma co udawać durnia, twierdząc, że było inaczej.

> 670 km trzymających się za dłonie ludzi stało się symbolem przemian, które doprowadziły do upadku więzienia narodów, jakim był Związek Sowiecki.

W 50. rocznicę zawarcia tego układu osi zła odbyła się droga bałtycka, czyli demonstracja jedności i wspólnoty losów mieszkańców Litwy, Łotwy i Estonii, żywy ludzki łańcuch łączący stolice trzech naszych krajów. 670 kilometrów trzymających się za dłonie ludzi stało się symbolem przemian, które doprowadziły do upadku więzienia narodów, jakim był Związek Sowiecki. Ale i tu okazję do wypowiedzi znajdują internetowi mędrcy, mający zdanie na każdy temat. Ci, którzy nie pamiętają, co jedli na śniadanie, opowiadają za to, jak z całą pewnością pamiętają, że w bałtyckim łańcuchu nie było ani jednego Polaka. A ci, którzy w ciągu dnia nie przechodzą nawet kilometra, uporczywie wszystkim tłumaczą, że niemożliwe jest, żeby było tych kilometrów tak dużo, że to fotomontaż i spisek „wiadomo kogo".

Prawdziwych świadków i uczestników tych wydarzeń z roku na rok ubywa. A więc coraz łatwiej jest tiktokowym zombiem wynurzać się ze swoimi „przemyśleniami", dziwnym trafem identycznymi z przekazem dezinformacji pewnego państwa.

Urlopowe refleksje

Jarosław **Tomczyk**

W zasadzie mogę sobie powiedzieć, że się udało. Wyruszając na urlop, założyłem sobie nie oglądać telewizji, nie słuchać wiadomości, nie zaglądać za nadto do mediów społecznościowych i w ogóle wyłączyć się od wszystkiego, na ile to w naszych czasach możliwe. A okazało się, że możliwe prawie zupełnie.

Da się wylegiwać całe dnie na kurlandzkich plażach, czytając zaległe książki i gazety, obserwując nielicznych ludzi i wpatrując się w bezkres morza. Na plażach kurlandzkich, bo w Połądze ceny na ostatni świąteczny weekend zupełnie oszalały. Sto euro za łóżko na jedną noc – a to i tak oferta z dolnej półki – przyznacie Państwo, sporo. Inna rzecz, że ceny kwater w Połądze szukanych na ostatnią chwilę to akurat mnie specjalnie nie zdziwiły, kilka innych rzeczy już tak.

Pojeździłem bowiem też trochę po Litwie, zajrzałem obowiązkowo do Wilna i nasunęły mi się refleksje. Nie wiem, czy jak człowiek wpada gdzieś tylko raz w roku, to widzi więcej, ale z pewnością inaczej. Dostrzega to, co patrzącym na co dzień wydaje się oczywiste, a może wręcz niewarte zauważenia. Zaskoczyła i jednocześnie zbudowała mnie powszechność ukraińskich flag przed miejskimi ratuszami, żółto-niebieskich serduszek poparcia na witrynach sklepów, skandowanie „Sława Ukrainie" przez kibiców Żalgirisu Kowno podczas meczu z Dinamem Zagrzeb. W Polsce kiedyś było podobnie, ale co tu kryć, dawno przestało. Rosyjska propaganda robi swoje, jawne popieranie Ukrainy stało się passé. Oczywiście nie wszyscy temu ulegli, ale wielu, zwłaszcza z tych głośno krzyczących, tak. Jak widać, doświadczenia rosyjskiego buta w PRL poszły chyba szybciej w niepamięć niż posmakowanie go wprost w obrębie ZSRS.

> Nie wiem, czy jak człowiek wpada gdzieś tylko raz w roku, to widzi więcej, ale z pewnością inaczej.

Zwróciła też moją uwagę liczba oznakowanych miejsc martyrologii Żydów w trakcie II wojny światowej. Jakby było ich więcej niż w minionych latach. Do tego często z informacjami, kto, z imienia i nazwiska, za daną zbrodnię był odpowiedzialny. A bardzo często byli to Litwini. Dowiedziałem się, że w Szadowie powstało muzeum „Zaginiony sztetl", będące próbą litewskiego rozliczenia się z trudną przeszłością. W Polsce obok pięknych kart pomocy Żydom takie ciemne też niestety mamy. W dalszym ciągu narrację narzucają ci, którzy krzyczą głośniej, choć powinni milczeć. Do Szadowa nie udało mi się tym razem dojechać, czego bardzo żałuję, ale obiecałem sobie, jak Bóg da, że w przyszłym roku będzie on jednym z głównych punktów urlopowego programu. I tylko szkoda, że ten tegoroczny nieodwołalnie już się skończył...

eprasa.pl d33df1a7a6

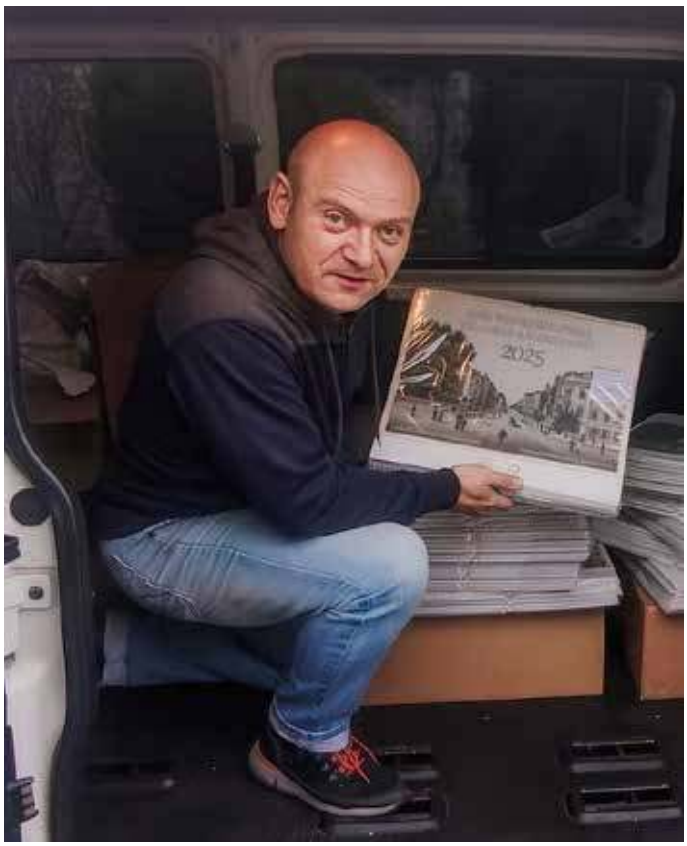

Piotr Szymański: Od kilku lat przygotowuję kalendarz, którym wspieram hospicjum w ten sposób, że o nim informuję **Fot. archiwum prywatne, opr. red.**

„Żukiem dla Życia" – 1000 kilometrów w szczytnym celu

Rozmawiała Ilona **Lewandowska**

Ponad tysiąc kilometrów, siedmioosobowa ekipa i 64-letni Żuk, który w PRL-u jeździł po chleb i listy – tak w tym roku wygląda jedna z nietypowych akcji charytatywnych łączących Polskę i Litwę. Od 4 do 13 września zabytkowy Żuk A-06 rocznik 1962 przejedzie z Krakowa do Wilna, by wesprzeć hospicjum dla dzieci i dorosłych, prowadzone przez s. Michaelę Rak. Cel: zebrać równowartość jednego miesiąca utrzymania placówki – około 350 tysięcy złotych, czyli 90 tysięcy euro. O inicjatywie opowiada Piotr Szymański, od lat związany z wileńskim hospicjum jako wolontariusz.

Ilona Lewandowska: Trasa, którą zamierzacie pokonać, liczy ponad 1000 km w jedną stronę. W podróż wyrusza siedmioro kierowców wolontariuszy, a nad całą organizacją, relacjami i kontaktem z mediami pracuje kilkanaście kolejnych osób, w tym Pan. Jak narodził się pomysł na zorganizowanie tak dużego przedsięwzięcia i jak wyglądały przygotowania do tej wyprawy?

Piotr Szymański: Elementem kulminacyjnym akcji jest przejazd starym samochodem marki Żuk z Krakowa do Wilna. To nie jest zwykły przejazd typu „jedziemy i tyle". Żuk wystartuje spod Krakowa, potem Łagiewniki, pojedzie do Niepołomic, gdzie spotka się z myśliwymi, później do Rzeszowa, gdzie prawdopodobnie odbędzie się spotkanie i niewielki koncert. Mamy trzyosobowy skład, który będzie dawał takie koncerty po drodze – będziemy dawać świadectwo tego, czym jest hospicjum, z czym się wiąże i na czym polega wolontariat. Dalej trasa prowadzi m.in. przez: Radom, Siedlce, Warszawę, Łomianki, Płońsk, Mławę, Działdowo, Łomże, Szczuczyn, Grajewo, Białystok, Augustów, aż do Wilna. Celowo zahaczamy o firmy, samorządy, instytucje i parafie, bo wiele z nich samo chciało nas przyjąć. Liczymy z ich strony na różnego rodzaju wsparcie, ale najbardziej zależy nam na finansowym – żeby zebrać jak największą sumę, docelowo równowartość miesięcznego utrzymania hospicjum. To kwota rzędu 350 tys. zł, czyli ok. 90 tys. euro. W tej chwili mamy już zebrane ok. 60 tys. zł, więc sprawa się rozkręca i bardzo nas to cieszy.

Akcję wspierają też artyści – wiem, że na swoich profilach już o niej mówiły Joanna i Kamila Moro, promując akcję „dla życia". Każdy z nas, kto ma jakieś relacje ze środowiskiem biznesowym, zachęca je do współpracy – nie ukrywam, wiele firm odpowiedziało, że to nie dla nich, że nie mają na to środków; nie obrażamy się za to na nikogo. Po prostu jedziemy dalej, wierząc, że w tak szczytnym celu się uda i że zbierzemy zaplanowaną kwotę, a może nawet więcej.

Przejazd zwykłym samochodem raczej nie wzbudziłby aż takich emocji, dlatego stawiamy właśnie na Żuka. Nasz egzemplarz to Żuk A-06 z 1962 r. – ma 64 lata, produkowany był w lubelskiej fabryce FSC, wozem tego typu w PRL-u przewożono wszystko: chleb, listy, ekipy budowlane. To stary, wiekowy pojazd, ale wierzymy, że jest w stanie technicznym naprawdę dobrze przygotowanym do takiej trasy.

Wasza trasa nie została wyznaczona najkrótszą możliwą drogą – zdecydowaliście się na bardziej rozbudowany wariant, który oznacza dodatkowe kilometry i większe wyzwanie dla całej ekipy. Skąd taka decyzja? Dlaczego zależało Wam właśnie na takiej trasie i co chcecie dzięki niej osiągnąć?

Chcemy dać świadectwo w jak największej liczbie miejsc. Poza tym skład ekipy, która wchodzi w skład tej akcji i będzie jechała Żukiem, sam w sobie jest różnorodny. Każdy z nas ma jakieś relacje w różnych stronach kraju, znajomych, którzy mogliby przyjąć nasz Żuk i dzięki którym moglibyśmy pozyskać »

eprasa.pl d33df1a7a6

dodatkowe środki – mówiąc najprościej, każdy ma jakieś relacje, i dlatego zajeżdżamy właśnie do tych miejsc, gdzie wiemy, że zostaniemy przyjęci.
Jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że nie uda nam się objechać całego kraju wzdłuż i wszerz w tydzień czy dwa, dlatego na ten etap wybraliśmy konkretną trasę. Obecnie mamy już mnóstwo deklaracji przyjęcia nas po drodze, sporo deklaracji noclegów, a także wiele obietnic zatankowania Żuka – tu naprawdę liczymy na ofiarność ludzi. Stąd te różne punkty na trasie. Nie zamykamy jednak akcji na tym jednym wyjeździe – mamy w głowach plany, żeby w przyszłości działać na jeszcze szerszą skalę, ale na chwilę obecną zaplanowana jest właśnie ta trasa.
Obecnie przy akcji pracuje 30 osób, wliczając w to siostrę Michaelę, która także się w to angażuje. Bezpośrednio Żukiem jedzie siedmioro kierowców, ale to możliwe dzięki temu, że oprócz nich są też, można powiedzieć, bohaterowie drugiego planu – ludzie, którzy w trakcie trasy będą dbać o to, żeby wszystko sprawnie działało, będą przygotowywać relacje, opowiadać o wolontariacie, o tym, z czym się wiąże, i dzielić się własnymi doświadczeniami.
W zeszłym roku hospicjum objęło opieką ponad 340 osób. Jeśli podzielić to prosto przez liczbę dni w roku, statystyka nie napawa optymizmem – ale taka jest skala potrzeb. Dlatego właśnie tym osobom drugiego planu też należą się słowa uznania, bo one także dbają o to, żeby ta akcja się udała.

To bardzo dobry początek – jeszcze nie wyruszyliście, a już macie spory zebrany budżet. Jak Pan myśli, dlaczego ludzie tak chętnie angażują się w tę akcję i w ogóle w pomoc wileńskiemu hospicjum?
Myślę, że z perspektywy Polski mogłoby paść pytanie: Dlaczego mam wspierać jakieś hospicjum, gdzie ani ja, ani ktoś z mojej rodziny raczej nigdy się nie znajdzie? Tu jednak jest jedna podstawowa rzecz: mimo że hospicjum założyła i prowadzi siostra zakonna z Polski; i mimo że wiele trafiających do niego osób jest narodowości polskiej, wcale nie oznacza to, że miłosierdzie, otwartość i miłość, którą daje hospicjum, są zamknięte wyłącznie na Polaków.

> Mimo że hospicjum założyła i prowadzi siostra zakonna z Polski, s. Michaela Rak, i mimo że wiele trafiających do niego osób jest narodowości polskiej, wcale nie oznacza to, że miłosierdzie, otwartość i miłość, którą daje hospicjum, są zamknięte wyłącznie na Polaków.

W wileńskim hospicjum nie liczy się narodowość, nie liczy się język, jakim się mówi, nie liczy się nawet wyznawana wiara. Większość z nas – pracowników, wolontariuszy, a także sama siostra prowadząca hospicjum – to katolicy, ale przez hospicjum przewijały się osoby bardzo różne, i to nigdy nie zamykało im drzwi do pomocy i opieki.
Jeden z głównych inicjatorów tej akcji, który nie koniecznie chce, aby o nim mówiono głośno, po raz pierwszy odwiedził wileńskie hospicjum przed Kongresem Miłosierdzia w czerwcu br. W rozmowie z siostrą dowiedział się, że w hospicjum nikt za nic nie płaci – i to go zaskoczyło: jak to możliwe, żeby funkcjonował podmiot, który – jak każda tego rodzaju instytucja – wiąże się z dużym finansowaniem, a mimo to nikt za usługi nie płaci?! Siostra wyjaśniła mu wtedy, że część środków finansuje kasa chorych, ale potrzeby hospicjum są znacznie większe, a resztę trzeba, jak sama to określa, „wyżebrać", „wyskrobać", „wyprosić". To go zainspirowało, żeby zorganizować tą właśnie akcję no i powstała akcja „Żukiem dla Życia".

Proszę opowiedzieć jeszcze trochę więcej o samej akcji i o tym, jak będzie ona wyglądała w praktyce. Co będzie się działo, kiedy dotrzecie do kolejnych miejsc na trasie, np. do Suwałk? Jak będzie wyglądało takie spotkanie z mieszkańcami, czy planujecie jakieś konkretne działania i w jaki sposób ludzie będą mogli włączyć się w tę inicjatywę?
Oczywiście wcześniej wszystko ustalamy, umawiamy kontakty, planujemy trasę już w szczegółach – gdzie i z kim się spotykamy. Planujemy każdy dzień zaczynać mszą świętą – to po niej wierni, którzy zechcą podzielić się tym, co mają, będą mogli wesprzeć akcję. Większość wsparcia z góry zakładamy jednak, że będzie pochodzić z oficjalnej zbiórki na portalach Fundatorres.pl i Zrzutka.pl, którą prowadzi Fundacja Aniołów Miłosierdzia – to główne źródło funduszy. Wiemy jednak, że część osób, zwłaszcza po pięćdziesiątce, nie umie posługiwać się zbiórkami internetowymi, a mimo to chce się podzielić i złożyć jakiś datek na hospicjum. Właśnie dla nich będą puszki – będziemy je zabierać w trakcie całej trasy.

Ta akcja nie jest początkiem Pana działalności i zaangażowania na rzecz wileńskiego hospicjum. Wspiera Pan tę placówkę już od pewnego czasu i angażuje się w różnego rodzaju inicjatywy, które mają pomóc jej podopiecznym. Od czego właściwie zaczęła się Pana przygoda z hospicjum? Co sprawiło, że zdecydował się Pan zaangażować właśnie w pomoc tej placówce i jej pacjentom?
O hospicjum dowiedziałem się od mojej mamy. Ciągle opowiadała mi o siostrze zakonnej z Polski, która w Wilnie prowadzi hospicjum, i że sporo się o nim mówi w różnych mediach. W tamtym czasie moja mama przez dłuższy czas sama opiekowała się swoją mamą (moją babcią), a że jest jedynaczką, więc cały ciężar opieki spoczywał właśnie na niej. W pewnym momencie mama bardzo się tym zmęczyła, wręcz przeżywała swego rodzaju kryzys.
Pomyślałem wtedy: dobra, napiszę do tej siostry, poproszę o jakieś »

eprasa.pl d33df1a7a6

duchowe wsparcie dla mamy. Skontaktowałem się z siostrą i poprosiłem, żeby przygotowała, dosłownie odręcznie, kilka zdań, którymi mógłbym wesprzeć mamę. Siostra przysłała wtedy książkę poruszającą temat cierpienia i winy, dopisała też kilka słów wsparcia – i to był strzał w dziesiątkę. Dało to mamie ogromnie dużo energii, żeby dalej opiekować się swoją mamą i w ogóle pacjentami – to był mój pierwszy kontakt z hospicjum. Niedługo potem okazało się coś jeszcze: niemal nie ma dnia, żeby ktoś nie odwiedził hospicjum z jakąś formą pomocy – ktoś przywozi paczki, coś przynosi. Kiedy raz zaproponowałem, że pomogę wnieść jakieś rzeczy, nikt mnie nawet nie pytał, czy chcę być wolontariuszem – w ogóle mi to nie przyszło do głowy, a i tak od razu zostałem przedstawiony jako wolontariusz. Potem doszły kolejne drobne sprawy – tu pomożesz, tam pomożesz – i tak już zostałem. Żartuję czasem, że zostałem raczej „mianowany", niż zgłosiłem się sam. Od tamtej pory staram się pomagać hospicjum w każdy możliwy sposób.

Proszę opowiedzieć, jak w tej chwili wygląda Pana wolontariat na rzecz hospicjum. Na czym przede wszystkim polega Pana zaangażowanie, czym zajmuje się Pan na co dzień i ile czasu poświęca Pan na tę działalność?

Obecnie jest to wolontariat hybrydowy. Sam prowadzę własną firmę, więc mogę sobie sam organizować czas, ale ten, kto prowadzi firmę, wie, że praca tak naprawdę trwa 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu – nie zawsze udaje się wszystko pogodzić. Jednak kiedy wiem z wyprzedzeniem o jakiejś konkretnej potrzebie, w większości przypadków staję na wysokości zadania i pomagam.

Jestem raczej z tych, którzy coś przywiozą, przywożą, rozładują, naprawią jakiś drobny problem z elektryką czy sprzętem. Poza tym, kiedy odbywają się większe wydarzenia – np. Pielgrzymka Suwalska, która zawsze gości w hospicjum, albo pielgrzymka motocyklowa, w ramach której przyjeżdża sporo osób – wtedy trzeba przyjąć tych wszystkich ludzi: zadbać, żeby mieli się gdzie rozłożyć, odpocząć, coś zjeść. To też jest część mojej pomocy.

Ale w hospicjum może się odleźć każdy, ze swoimi możliwościami, jeśli tylko ma chęci. Wolontariat dzieli się właściwie na kilka funkcji. Są osoby, które najlepiej odnajdują się przy samych pacjentach, inne bardziej sprawdzają się w kuchni, jeszcze inne – przy drobnych porządkach, nawet przy podlewaniu kwiatów. Są też młode wolontariuszki – wśród nich moja córka i córka kolegi – które czytają pacjentom. One nie są w stanie pomóc w sensie opieki pielęgniarskiej, ale samo bycie przy tych ludziach, poczytanie im, porozmawianie z nimi – to też ogromne wsparcie.

Jest też koordynatorka wolontariuszy, która wie, do kogo z jaką sprawą się zwrócić – to bardzo dobrze zorganizowany system, bo wolontariuszy jest sporo i rzadko kiedy wszyscy spotykają się w jednym miejscu naraz. Nie cały wolontariat odbywa się zresztą w samym hospicjum – czasem to zbiórki pieniędzy na jego rzecz, jak akcja „Kwiatek dla hospicjów", organizowana na początek i koniec roku szkolnego.

Można powiedzieć, że jest jeszcze trzecia płaszczyzna wolontariatu – informowanie o hospicjum. Od kilku lat przygotowuję kalendarz, którym wspieram placówkę w ten sposób, że o niej informuję. Ostatnia strona kalendarza jest poświęcona temu, jak można wspierać hospicjum, niezależnie od tego, czy mieszka się na Litwie, czy w Polsce, oraz temu, że wsparcie można odliczyć od podatku. Żeby kalendarz w ogóle powstał, muszę pozyskać sponsora, który sfinansuje jego wydanie. Ze swojej strony wkładam pracę: dbam o skład, o to, żeby drukarnia go wydrukowała i żeby trafił tam, gdzie trzeba. To też jest swego rodzaju mój wolontariat.

Nie mam wątpliwości, że to dobrze wykorzystany czas i siły, bo wileńskie hospicjum to wyjątkowe miejsce. ■

> W naszej akcji liczymy na różnego rodzaju wsparcie, ale najbardziej zależy nam na finansowym – żeby zebrać jak największą sumę, docelowo równowartość miesięcznego utrzymania hospicjum. To kwota rzędu 350 tys. zł, czyli ok. 90 tys. euro.

Na zdjęciu główni sprawcy zamieszania z Żukiem, wolontariusze wileńskiego hospicjum, a także siostra Michaela Rak **Fot. archiwum prywatne**

eprasa.pl d33df1a7a6

eprasa.pl d33df1a7a6

Zaczęło się od sprzedanej łodzi Wilniuka. Wrażenia po 31. Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie

Rajmund Klonowski

Wróćmy raz jeszcze nad mrągowski Czos, nad którym po raz 31. prezentowano kresową kulturę. Każdy musiał dać coś z siebie. Niektórzy jechali 29 godzin, inni musieli podołać całkiem nowej roli, a jeszcze inni – wystąpić po raz pierwszy na galowej scenie.

Widzowie widzą efekt. Jednak na ten efekt pracuje się do ostatnich godzin, wszystko musi być dopięte na ostatni guzik...
Fot. Rajmund Klonowski

W dniach 6–9 sierpnia w Mrągowie odbył się 31. Festiwal Kultury Kresowej, gromadzący twórców polskiego pochodzenia z Litwy, Białorusi i Ukrainy. Wszystko toczyło się w kilku lokalizacjach: w amfiteatrze nad jeziorem Czos, na Skwerze Jana Pawła II, w Mrągowskim Centrum Kultury oraz w Kościele św. Wojciecha.

Program otworzył 6 sierpnia koncert Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego, a kolejne dni wypełniły m.in. spotkanie z Sonią Pajgert poświęcone Polakom Odessy, Mała Gala Kresowa z warsztatami i kiermaszami, wernisaż malarstwa polskich artystów z Litwy i Ukrainy oraz porywająca potańcówka z Kapelą Wileńską, której sukcesem zaskoczona była zresztą sama kapela.

Główny punkt programu przypadł na 8 sierpnia w amfiteatrze nad jeziorem Czos – na scenie wystąpiły zespoły z trzech krajów. Z Litwy wystąpiły Polski Zespół Artystyczny Pieśni i Tańca „Wilia", Kapela Wileńska oraz zespół wokalny „Kresowy Płomień" z Zujun. Z Ukrainy wystąpili: Polski Zespół Pieśni i Tańca „Lwowiacy", Folklorystyczny Zespół Górali Czadeckich „Wianeczek", trio bandurzystek „Bukowińskie dziordanki", zespół śpiewaczy „Polskie Kwiaty", zespół śpiewaczy „Akwarele Tarnopola" oraz Zespół Pieśni i Tańca „Polanie znad Dniepru". Z Białorusi: wokalno-instrumentalny zespół „Liber Cante", dziecięcy zespół taneczny „Ważka", solistka Waleria Ziazulczyk, dziecięcy zespół „Marzenie", zespół folklorystyczny „Wierzbica" oraz młodzieżowy zespół „Wszystko w Porządku".

Festiwal zamknęły 9 sierpnia uroczysta msza święta w Kościele św. Wojciecha, korowód ulicami miasta oraz koncert zespołów kresowych na Skwerze Jana Pawła II. Organizatorami wydarzenia byli Burmistrz Miasta Mrągowa, Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz Mrągowskie Centrum Kultury.

Gdy rozmawiamy z Kapelą Wileńską o festiwalu, żartują, że już nie zliczą, ile to razy występują. Przypominają jednak, że początki nie były lekkie, a urodzony w Wilnie zało- »

eprasa.pl d33df1a7a6

życiel festiwalu, były burmistrz Mrągowa, nawet sprzedał swoją łódź, aby festiwal dofinansować.

– Bierzemy udział od pierwszego festiwalu w Mrągowie, na którym zdobyliśmy Grand Prix. Nie startowaliśmy we wszystkich edycjach, ale trudno to nawet policzyć – opowiadali w rozmowie z „Kurierem Wileńskim" maestro Romuald Piotrowski i Gerard Latkowski z Kapeli Wileńskiej. Zauważyli, że poziom festiwalu podnosi się jeszcze bardziej, m.in. dzięki Edwardowi Trusewiczowi.

– Za dużo takich festiwali kresowych nie ma. Kiedyś Mrągowo było czymś naprawdę wyjątkowym – organizowali go ludzie, którzy szczerze kochali Wilno. Założyciel festiwalu Ryszard Soroko sprzedał swoją łódkę, żeby go dofinansować. Później to trochę się zatarło, weszło w rutynę, poziom zespołów spadał. Teraz, dzięki Edwardowi Trusewiczowi, festiwal się odradza, ale utrzymanie jakości co roku jest bardzo trudne – bo najlepsze zespoły nie będą przyjeżdżać bez przerwy, a jak poziom pada, publiczność się zmniejsza – wyjaśniała niuanse kapela.

Tym razem „noc różniła się od wszystkich innych nocy". Kapeli Wileńskiej przypadł – jak opisywała w poprzednim numerze Agnieszka Skinder, relacjonując festiwal – nowy pomysł. Nasza kapela poprowadziła potańcówkę. Choć kapela przyznaje, że „popracowali" nad tym wiliowcy.

– Myślałem, że potańcówka wypadnie sztywno, a wyszło naprawdę żywo. Będący na miejscu chórzyści z „Wilii" wciągnęli wszystkich do tańca, tańczyli i nasi, i miejscowi Mrągowianie. Mamy tu swoich stałych fanów – przychodzą i mówią, że zawsze nas słuchają. Wszystko udało się, zdecydowanie! – nie kryła radości Kapela Wileńska.

Gdy pytamy reżysera galowego koncertu, którego wskazała Kapela Wileńskiego jako tego, dzięki któremu podnosi się poziom, Edwarda Trusewicza, przyznaje on, że z wiadomych przyczyn niektórym zespołom trudno jest podtrzymywać działalność swoich społeczności, a mimo to trwają przy kulturze i polskości.

– Zespoły łączy wspólny cel pielęgnowania i prezentowania polskiej kultury, którą z ogromnym oddaniem kultywują w miejscach swojego zamieszkania. Oprócz zespołów z Wileńszczyzny rokrocznie goszczą tu również artyści z Białorusi i Ukrainy. Nie trzeba wielu słów, by uświadomić sobie, w jak trudnych warunkach niejednokrotnie przychodzi im działać i podtrzymywać życie kulturalne swoich środowisk – mówi „Kurierowi Wileńskiemu" Edward Trusewicz, reżyser koncertu galowego podczas mrągowskiego festiwalu.

– Tym większy szacunek budzi to, że mimo tych wyzwań każdego roku przyjeżdżają do Mrągowa, by wspólnie świętować polską kulturę i dzielić się nią z publicznością. Z kolei scena nie wybacza braku profesjonalizmu czy braku szacunku dla widza, dlatego poprzeczka zawieszona jest naprawdę wysoko – wyznał.

Z kolei kierowniczka Polskiego Zespołu Artystycznego Pieśni i Tańca „Wilia" Renata Brasel przede wszystkim podkreśla, że to dzięki organizatorom festiwal udał się mimo trudności finansowych.

– Jesteśmy dumni i niezwykle szczęśliwi, że mogliśmy ponownie przybyć do uroczego, otoczonego jeziorami Mrągowa i świętować razem z Kresowiakami. Wielkie podziękowania za zaproszenie należą się organizatorom festiwalu, którzy nie zważając na trudności finansowe, stworzyli dla nas, uczestników, niezwykle ciepłą atmosferę i zadbali o to, by każdy czuł się tutaj dobrze – przekazała Renata Brasel. Dodała też, że zespół „Wilia" nawiązał bliskie relacje z „Kresowym Płomieniem".

Renata Brasel liczy też, że Telewizja Polska będzie w dalszych edycjach obejmowała patronatem festiwal. – Słowa uznania kieruję do całego zespołu – tancerzy, chórzystów oraz kierownictwa. Ze smutkiem żegnaliśmy Mrągowo i mamy ogromną nadzieję, że jeszcze tu wrócimy. Głęboko wierzymy również, że kolejne edycje tego wydarzenia – wzorem lat ubiegłych – obejmie swoim patronatem Telewizja Polska. Tak wspaniały festiwal, wspaniale promujący kulturę kresową, naprawdę zasługuje na obecność w mediach – zastrzegła.

Zapytaliśmy także o wrażenia zespół wokalny „Kresowy Płomień", który w tym roku występował na festiwalu po raz pierwszy – choć nie po raz pierwszy brał w nim udział. Kierowniczka zespołu Ilona Jurewicz, organistka, wyjaśniła nam też, że „Kresowy Płomień" stale się rozwija, co widać – a także słychać – w wileńskich kościołach.

– Na sam festiwal jedziemy po raz pierwszy – dwa lata temu chcieliśmy połączyć warsztaty z przyjazdem jako widzowie, ale terminy się rozminęły. W tym roku trafiliśmy już jako uczestnicy i jesteśmy pod wielkim wrażeniem. Dziękujemy organizatorom i wszystkim, którzy przyczynili się do tego przedsięwzięcia – mówiła Jurewicz.

– „Kresowy Płomień" dopiero niedawno zaczął śpiewać w kościołach; rozpoczęliśmy od Parady Polskości w Wilnie w tym roku. Młodzież, która należy do zespołu, śpiewa u mnie też w chórze parafialnym, więc mogę to trochę połączyć, a oni szybko się uczą – teraz śpiewamy również muzykę kościelną. W niedzielę śpiewaliśmy w Kościele św. Wojciecha, za co jesteśmy wdzięczni i Panu Bogu, i organizatorom – cieszyła się nasza rozmówczyni.

Niektórych droga do Mrągowa była nielekka. Solistka z Białorusi, Waleria Ziaziulczyk, jechała na festiwal 29 godzin. – Jestem bardzo szczęśliwa, że miałam możliwość przyjechać – jechaliśmy 29 godzin z Mińska do Mrągowa. Jestem zachwycona tym festiwalem, publiczność jest taka miła i entuzjastyczna. Bardzo chętnie wrócę w przyszłym roku. Mój dziadek ma polskie korzenie, choć urodził się na Białorusi – jego rodzice byli zapisani jako Polacy. Rodziny w Polsce już nie mam – przyznaje. Nie omieszkaliśmy się zapytać o sukcesy, bo wiemy, że Waleria ich trochę ma.

– W 2019 r. brałam udział w festiwalu piosenek Anny German „Eurydyka" w Mińsku i wygrałam Grand Prix. Drugą nagrodą było zaproszenie na Polonijny Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu – jeżdżę tam już po raz czwarty, w tym roku też zdobyłam Grand Prix. Przez te cztery lata naśpiewałam już taki repertuar – opowiadała.

Zostaje przytoczyć słowa, które padły ze sceny na końcu: „Proszę Państwa, teraz jest bardzo odpowiedzialny moment – jak zaraz włączymy światło, to nasi artyści zobaczą widownię. Widownia zobaczy lepiej artystów i może ktoś poczuje coś więcej".

Myślę, że gdyby widownia „nie poczuła czegoś więcej", to aż 31. edycji festiwalu nie byłoby sensu organizować. Życzymy organizatorom co najmniej drugie tyle!

eprasa.pl d33df1a7a6

Rząd chce zapewnić mieszkańcom całej Litwy równe warunki dostępu do sportu

Honorata Adamowicz

Sport powinien być dostępny dla każdego mieszkańca Litwy, niezależnie od miejsca zamieszkania. Rząd uruchamia nowy program rozwoju infrastruktury sportowej, na który do 2028 r. przeznaczy 46 mln euro. Środki trafią przede wszystkim do samorządów, w których wciąż brakuje podstawowych obiektów sportowych. Powstaną nowe baseny, stadiony i hale, a równolegle tysiące mieszkańców będą mogły korzystać z bezpłatnych zajęć sportowych.

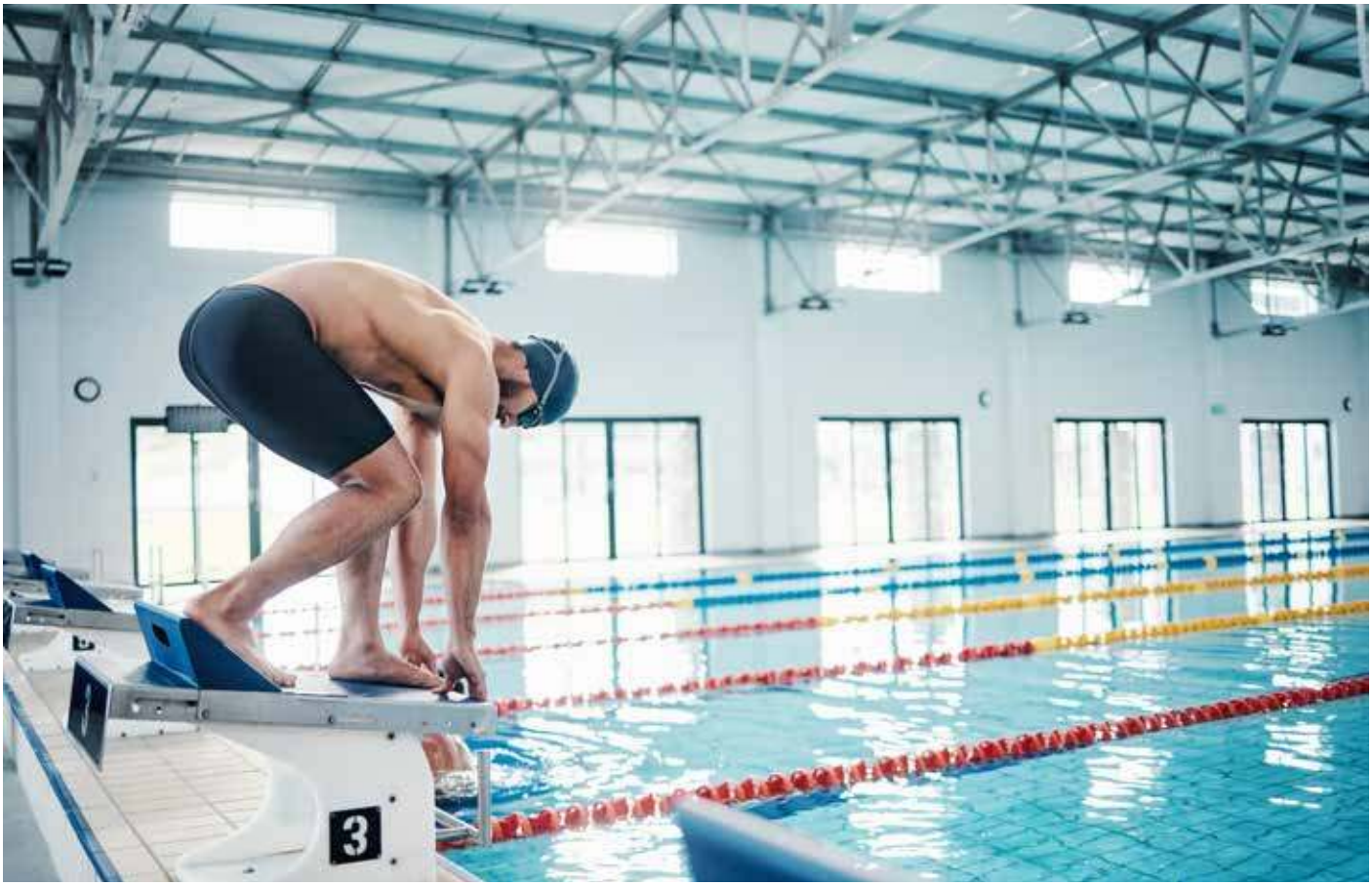

Prawie połowa samorządów na Litwie nie posiada 25-metrowego basenu z czterema torami. Wyzwania są ogromne **Fot. Adobe Stock**

„Nowy program rozwoju infrastruktury sportowej będzie realizowany w latach 2026–2028. Z budżetu państwa przeznaczono na ten cel 46 mln euro, z czego już w przyszłym roku wydanych zostanie 19 mln euro. Programem zarządza Centralna Agencja Zarządzania Projektami (CPVA), która rozpoczęła nabór wniosków od samorządów. O tym, które inwestycje otrzymają dofinansowanie, zdecyduje konkurs. Projekty będą mogły liczyć na wsparcie od 500 tys. do 9 mln euro, jednak samorządy będą musiały pokryć co najmniej połowę kosztów inwestycji z własnych środków. Im większy wkład własny, tym większe szanse na uzyskanie finansowania" – informuje Ministerstwo Oświaty, Nauki i Sportu.

Na realizację projektów samorządy będą miały czas do 31 grudnia 2030 r.

Zmniejszyć różnice między regionami

Dane pokazują, że dostęp do nowoczesnej infrastruktury sportowej nadal jest na Litwie bardzo nierówny. Największe możliwości mają mieszkańcy dużych miast, gdzie funkcjonują nowoczesne hale sportowe, boiska, baseny, siłownie i inne obiekty »

eprasa.pl d33df1a7a6

Dotychczas rozwój infrastruktury sportowej nie zawsze uwzględniał rzeczywiste potrzeby mieszkańców i regionów. W wielu miejscach istniejące obiekty nie odpowiadają współczesnym standardom ani potrzebom sportu powszechnego i wyczynowego.

umożliwiające regularną aktywność fizyczną.

W mniejszych miejscowościach i na terenach wiejskich oferta jest znacznie bardziej ograniczona, a część istniejących obiektów wymaga modernizacji lub nie odpowiada współczesnym potrzebom mieszkańców. W efekcie miejsce zamieszkania wciąż może decydować o tym, czy ktoś ma łatwy i bezpłatny dostęp do sportu.

Rozwój infrastruktury ma więc nie tylko zwiększyć liczbę dostępnych obiektów, ale także zmniejszyć różnice między regionami i zapewnić mieszkańcom całej Litwy równe warunki do aktywnego spędzania czasu.

Spośród 60 samorządów: 24 nie mają większej wielofunkcyjnej hali sportowej lub areny, 27 nie posiada 25-metrowego basenu z czterema torami, 16 nie dysponuje stadionem spełniającym obowiązujące standardy.

„Najtrudniejsza sytuacja panuje w dziewięciu samorządach: rejonie olickim, Kalwarii, Neryndze, Pojegach, rejonie poniewieskim, rejonie rosieńskim, rejonie szkudzkim, rejonie święciańskim i rejonie jezioroskim. Nie ma tam ani nowoczesnego basenu, ani hali sportowej, ani stadionu. Dla porównania 22 samorządy posiadają już wszystkie trzy rodzaje obiektów. To właśnie taki poziom infrastruktury państwo chce osiągnąć w całym kraju" – poinformowano Ministerstwo Oświaty, Nauki i Sportu.

Ministerstwo podkreśla, że środki będą kierowane przede wszystkim tam, gdzie potrzeby są największe. Finansowanie obejmie: budowę i modernizację basenów, stadionów, hal wielofunkcyjnych, stadionów piłkarsko-lekkoatletycznych, zadaszonych hal treningowych oraz innych specjalistycznych obiektów sportowych.

Nowe i modernizowane obiekty

Dotychczas rozwój infrastruktury sportowej nie zawsze uwzględniał rzeczywiste potrzeby mieszkańców i regionów. W wielu miejscach istniejące obiekty nie odpowiadają współczesnym standardom ani potrzebom sportu powszechnego i wyczynowego.

Samorządy i zarządcy obiektów, które otrzymają państwowe dofinansowanie, będą zobowiązani do zapewnienia odpowiedniej liczby użytkowników oraz utrzymania tego poziomu przez co najmniej pięć lat po zakończeniu inwestycji.

Nowe i modernizowane obiekty będą musiały być również w pełni dostępne dla osób z niepełnosprawnościami, tak aby mogły z nich korzystać wszystkie grupy mieszkańców.

Równolegle z inwestycjami infrastrukturalnymi ministerstwo przeznacza ponad 15 mln euro na rozwój aktywności fizycznej mieszkańców. Narodowa Agencja Sportu zatwierdziła już finansowanie 173 projektów o wartości 9,5 mln euro ze środków Funduszu Wspierania Sportu. W całym kraju ruszają bezpłatne zajęcia obejmujące kilkadziesiąt dyscyplin – od piłki nożnej, tańca i tenisa po kickboxing czy freediving.

Obecnie aż 39 proc. mieszkańców Litwy pozostaje nieaktywnych fizycznie. Problem ten jest widoczny nie tylko wśród osób dorosłych, lecz także wśród dzieci i młodzieży, dlatego rozwój infrastruktury sportowej ma być jednym ze sposobów na zachęcenie mieszkańców do większej aktywności.

Regularna aktywność fizyczna

Większość projektów realizowana będzie w mniejszych samorządach i potrwa co najmniej trzy miesiące. Szacuje się, że z bezpłatnych zajęć będzie mogło skorzystać blisko 100 tys. mieszkańców.

Dodatkowo co najmniej 5 mln euro zostanie przeznaczonych na modernizację istniejących obiektów sportowych. Po zakończeniu inwestycji przez kolejne trzy lata będą się w nich odbywać bezpłatne zajęcia dla lokalnych społeczności. Obecnie takie prace prowadzone są już w 18 samorządach.

Kolejne niemal 600 tys. euro otrzymają federacje i organizacje sportowe na popularyzację aktywności fizycznej, organizację wydarzeń oraz zwiększanie udziału mieszkańców w sporcie. Około 100 tys. euro trafi także do litewskich organizacji za granicą na projekty sportowe integrujące diasporę.

Ministerstwo podkreśla, że inwestycje mają nie tylko poprawić dostęp do infrastruktury, ale także zachęcić mieszkańców do regularnej aktywności fizycznej. Skuteczność programu będzie monitorowana poprzez kontrole realizowanych projektów oraz coroczne badania społeczne dotyczące aktywności fizycznej mieszkańców.

To szczególnie istotne, ponieważ obecnie aż 39 proc. mieszkańców Litwy pozostaje nieaktywnych fizycznie. Problem ten jest widoczny nie tylko wśród osób dorosłych, lecz także wśród dzieci i młodzieży, dlatego rozwój infrastruktury sportowej ma być jednym ze sposobów na zachęcenie mieszkańców do większej aktywności.

Rząd liczy, że nowe, łatwiej dostępne obiekty oraz bezpłatne zajęcia sportowe pozwolą większej liczbie osób regularnie uprawiać sport, niezależnie od miejsca zamieszkania czy możliwości finansowych. Jednocześnie inwestycje mają ograniczyć różnice między największymi miastami, gdzie oferta sportowa jest znacznie szersza, a mniejszymi miejscowościami i regionami. Władze chcą w ten sposób stworzyć mieszkańcom bardziej równe warunki do aktywnego spędzania czasu i stopniowo odwrócić niekorzystny trend rosnącej bierności fizycznej. ■

eprasa.pl d33df1a7a6

Katarzyna Żemojcin-Cibulskė o nowym punk rocku. „Najbardziej nienawidzi się tego, kogo się nie zna”

Rozmawiał Apolinary Klonowski

Mieliśmy rozmawiać o muzyce ludowej, którą Katarzyna z Centrum Kultury w Niemenczynie nazywa „nową alternatywą, nowym punk rockiem”. Jednak już pierwsze, bardzo osobiste pytanie narzuciło o wiele szerszy wachlarz tematów.

Katarzyna Cibulskė – skrzypaczka, od niedawna cymbalistka, a już na pewno wielka fanka kultury ludowej Wileńszczyzny **Fot. Apolinary Klonowski**

Apolinary Klonowski: Jak w końcu – Żemojcin czy bardziej Cibulskė?
Katarzyna Żemojcin-Cibulskė: Historia jest bardzo osobista. Cztery lata temu miałam taką przygodę życiową, a właściwie rozwód. Spakowałam walizki w bardzo krótkim czasie i wyszłam do kochanej osoby. Raptem jak piorun z jasnego nieba! To był jednocześnie cud dla mnie i trudność, bo byłam strasznie posądzana albo przynajmniej obgadywana. Nawet w pracy otrzymywałam jakieś dziwne porady, uwag.
Z niektórymi osobami zerwałam kontakt z powodu mojego wyboru osobistego. W takich sytuacjach najlepiej widać, kto zawsze czuł do ciebie antypatię. Wyjechaliśmy, najpierw na miesiąc gdzieś indziej, a potem do Wilna. Nie chciałam być tą babcią, która całe życie będzie pokazywać zdjęcie męża i mówić: „Dobry był, ale ja kochałam kogoś innego”. Nie chciałam żałować do końca życia, że przeoczyłam swoją prawdziwą miłość. Lepiej być posądzoną niż fałszywą. Cibulskė zostałam dwa lata temu. Nie tylko zmieniłam nazwisko, ale też nałożyłam obrączkę, chociaż dotąd twierdziłam, że nigdy tego nie zrobię.
Nie chciałam być Cibulskienė – to bardzo popularne nazwisko, jak Kowalski czy Piotrowski. Poza tym nie mogłabym w ogóle napisać tego nazwiska po polsku w formie żeńskiej – Cibulska – więc zostało coś pomiędzy polskim a litewskim. Dla mnie to tak właśnie brzmi.

Ryzyko się opłaciło?
Tak. Cieszę się ze swojej decyzji. Miłość jest tym uczuciem, które sprawia, że nawet obieranie ziemniaków ma inny sens, nie wspominając już o takich wrażliwych momentach jak twórczość czy muzyka.

Jesteś znana przede wszystkim jako skrzypaczka. Wielu jest zaskoczonych „ludową” odmianą.
Bardzo długo miałam kompleks z tego powodu, że nie jestem w tej superzawodowej lidze – wydawało mi się, że muszę grać na poziomie dobrych jazzmanów, żeby w ogóle się liczyć. Nigdy nie myślałam o sobie, że jestem zawodową skrzypaczką. Teraz rozumiem, że każdy gatunek muzyki jest skomplikowany i piękny w swoim rodzaju, a właściwie być może muzyka folkowa bardziej potrzebuje takich osób jak ja. Każdy znajdzie swoje miejsce pod słońcem.

Znalazłaś swoją niszę. Czy robisz także badania? Przy twoim projekcie Kaymo² widziałem dopisek „z archiwum LMTA”.
Nie prowadzę badań terenowych, nigdy nie poszłam „w pole”. Korzystam z archiwów, które już są gotowe, albo wydanych śpiewników. Dużo się uczę w zespole „Łałymka” z Białej Waki.
W sprawie nauki gry na cymbałach bardzo dużo informacji i porad otrzymuję od pokoleniowego cymbalisty z Ełku Piotra Krupskiego, jak również od dr. Gustawa Juzali. Są moimi mentorami na tej drodze do muzyki tradycyjnej.

A cymbały wileńskie czymś różnią się od innych?
Polacy [z Polski, Koroniarze – przyp. red.] mówią „cymbały wileńskie”, bo są jeszcze cymbały rzeszowskie czy huculskie – tam tradycja grania bardzo się różni. Ich kapele były liczniejsze, grano akompaniament.
U nas na Wileńszczyźnie cymbalista grał melodię identycznie, jak śpiewa się pieśń. To instrument solowy, grał pierwszy głos, skrzypce – drugi. Dla Litwinów nie da się powiedzieć „cymbały wileńskie”, bo oni mają dokładnie takie same. Etnografia nie ma przecież granic narysowanych jak na mapie – wszystko przenikało się stopniowo.
Cymbały prawdopodobnie trafiły do Europy z Bliskiego Wschodu (może z Persji, instrument santur), przez Hiszpanię lub za pośrednictwem Turcji, częściowo dzięki jeńcom – muzykom oszczędzanym podczas wojen. Od XV/XVI w. rozprzestrzeniły się po Europie i Azji, grywali na nich zarówno muzycy dworscy, jak i ludowi – w tym cygańscy lautari czy żydowscy klezmerzy.

»

eprasa.pl d33df1a7a6

Jak zaczęła się twoja przygoda z cymbałami? Bo pierwszy instrument to skrzypce.
Od dawna ciekawił mnie ten instrument. Dowiedziałam się, że z inicjatywy dyrektora Centrum Kultury w Niemenczynie nabyto cymbały wileńskie od słynnego w Polsce lutnika Artura Jachimowicza.
Bardzo się cieszę, że pan German Komarowski szczególną miłością darzy nasze wileńskie tradycje – tak mocno, że będąc choreografem, zwrócił uwagę na tradycję grania na cymbałach na Wileńszczyźnie, a właściwie podjął decyzję o odrodzeniu tej tradycji. To on pożyczył mi nowy, nowiusieńki instrument. W domu mąż pomógł mi w najtrudniejszym dla początkujących momencie – nauczyć się nastroić cymbały. Tak zaczęłam samodzielną naukę. Fascynujący instrument, który według mnie działa terapeutycznie – pozytywnie wpływa na nastrój i samopoczucie.

Widzisz szansę np. na to, żeby zagrać poloneza maturzystów – z „Pana Tadeusza", gdzie na cymbałach grał Żyd – w takiej właśnie filmowej aranżacji, na cymbałach?
Gram teraz raczej niezbyt skomplikowane melodie, staram się wileńskie tradycyjne albo takie, które powtarzają się w muzyce tradycyjnej w kilku narodach. Cymbały wileńskie stroi się diatonicznie, co sprawia, że ma się wtedy w porównaniu np. do akordeonu ograniczone możliwości.
Czy dałabym radę? Być może, nie próbowałam. Cymbalistka Żaneta Seweryn z Krakowa gra na cymbałach wileńskich Chopina, zagrałaby poloneza – nie wątpię!
Moim priorytetem jest nasza wileńska tradycja, dawne melodie do tańca – walc, polka, marsz, oberek. Wykorzystałam też cymbały w pieśni „Tam na polu sosna" w wykonaniu Kaymo².

Projekt Kaymo robiłaś swoim sumptem. Czy Kaymo² też na swój koszt robisz?
Zespół folkowy Kaymo² dopiero powstał i działa przy Centrum Kultury w Niemenczynie, kieruję zespołem jako pracowniczka tej placówki. Być niezależnym jest po pierwsze bardzo kosztowne, a po drugie brakuje mi wtedy motywacji – teraz mam terminy i zobowiązania.
Kiedyś chciałam czegoś więcej, chciałam być niezależna i udowodnić, że potrafię. Teraz cieszę się każdym dniem pracy, bo wróciłam tam, gdzie wszystko się zaczęło. To moje rodzime Centrum Kultury. Bardzo dużo przygód mnie tu spotkało.

Czyli twoje poglądy zmieniały się z czasem?
Tak, bardzo. Różnorodne doświadczenia i relacje z ludźmi mają wpływ na człowieka i jego poglądy. Nie zmienia się moja pasja do folkloru – zarówno wileńskiego, jak i innych narodów.

Mam wrażenie, że w naszych polskich szkołach na Litwie niewiele jest mowy o tej wileńskiej tożsamości. Nie żeby też ścisły program miał jeszcze szprychy, w które dałoby się to wepchnąć...
Chciałoby się jak najwięcej mowy o wileńskiej tożsamości. Jesteśmy unikatowi pod wieloma względami. Przede wszystkim przestańmy wstydzić się swojego pochodzenia. Jeżeli chcemy być szanowani, musimy sami siebie szanować. Bardzo dużo zależy też od tradycji domowych, nie tylko od szkoły.

Ale dużo zależy od nauczyciela. Załóżmy, że pojawi się ambitny nauczyciel, który chce tego uczyć – z czego miałby czerpać materiał?
Zacząć od siebie, użyć kontemplacji. Teraz młode pokolenie jedzie na wycieczkę zobaczyć krowę i skąd się bierze mleko. Skąd się bierze mięso – chyba już nie zobaczą. Tak samo jest z naszą tożsamością. Bardzo dużo informacji mamy pod nosem w życiu codziennym, pytanie, czy jesteśmy tego świadomi i czy to dostrzegamy. Są archiwa, są stare książki, są naukowcy, publikacje naukowe i badania. Dobrą metodą jest porównywanie z innymi kulturami. W taki sposób tych rzeczy, które fascynują, zaczynasz szukać w swojej kulturze.

A więc co dla ciebie jest najbardziej wileńskie? Kim jest Polak z Litwy?
Bardzo lubię słowo „autochtoni". Dla mnie to najlepiej określa, kim jesteśmy – i nieważne, czy nasi przodkowie byli kiedyś Białorusinami, czy Litwinami, czy nie wiadomo kim. W metrykach z 1880 r. moi przodkowie mieli polskie imiona i nazwiska w tych samych miejscowościach, w których dziś mieszkamy.
Moja mama uczyła się w rosyjskiej szkole – trafiła tam, żeby zaoszczędzić rok nauki, bo akurat gdy musiała iść do szkoły, zachorowała i trafiła do szpitala. Jej brat ukończył litewską szkołę, też nie sprzyjał zbieg okoliczności. A mimo to w domu nikt nigdy nie mówił w innym języku niż nasza gwara – może z jakimiś rusycyzmami, ale nie inaczej. Całkiem nie taka mieszanka, jaką dziś słyszymy u młodzieży.
Oczywiście, nasza piękna gwara wileńska. Te wszystkie: „zbiłasz mnie z pantałyku", „wyrzucić ta straszna szmata do kotucha". Wiem, że w niektórych miejscowościach mówią w domu „po prostemu", ale się tego wstydzą i nie bez powodu. A ja strasznie lubię słuchać, jak jej używają, i staram się tej gwary uczyć. Spróbujcie sami, nie jest to takie łatwe, jak wygląda na pierwszy rzut oka.
Nie wolno szydzić z człowieka z tego powodu, że urodził się gdzieś przy granicy z Białorusią. Ojczyzny, rodziców i języka, jaki słyszymy, będąc dzieckiem, nie wybieramy. W dodatku znam wiele takich osób, które (na co dzień) mówią „po prostemu", a mają lepszą znajomość języka polskiego niż ja.
Nasze pieśni ludowe są przepiękne. Często słyszę, że są smutne, takie powolne i nieciekawe. A jednak może to my tak szybko odeszliśmy od swoich korzeni, że ich nie rozumiemy? Jednoznacznie są niepowtarzalnie dobre, gdy człowiek sam je śpiewa, a szczególnie w gronie rodziny, przyjaciół czy przynajmniej w zespole. Bardzo trudno jest przekazać współczesnemu człowiekowi, że to jest dobre, ważne i potrzebne. Każdy jest ważny w tym procesie, kulturę ludową tworzymy wszyscy razem.

Rozumiem, że masz w sobie sporo motywacji, żeby to wszystko odzyskiwać.
Od września rozpoczynam naukę w Akademii Muzyki i Teatru w Wilnie, na etnomuzykologii. Właśnie te moje wieloletnie działania stały się przyczyną tego, że coraz bardziej »

eprasa.pl d33df1a7a6

imponuje mi folklor in crudo, czyli taki autentyczny, jak kiedyś był na wsi. Czuję odpowiedzialność i rozumiem, że to od nas zależy, czy zachowają się te dawne melodie, pieśni, gwara. Idę tam czerpać wiedzę, żeby nauczyć się rozpoznawać to, co jest ważne, żebym mogła efektywnie doradzać, a nie tylko krytykować.

Jeśli mówimy o języku, to coraz bardziej przechodzi się niestety na rosyjski, zwłaszcza wśród młodzieży. Mieszają rosyjski z polskim i mówią, że to gwara.
A mogą też mieszać polski, litewski, rosyjski i angielski naraz. Zupełny koszmar dla ucha. Dużo mówimy o polskich szkołach i zespołach, ale co ma zrobić nauczyciel, jeśli dziecko wraca do domu, gdzie ogląda się rosyjską telewizję, słucha rosyjskiej muzyki, rozmawia z rodzicami po rosyjsku? Z drugiej strony, kto ma prawo wskazywać, w jakim języku ludzie muszą mówić albo co mają lubić? Często powtarzam – nic na siłę.

Patrzę na Ciebie i widzę rock and roll. Krótkie włosy, kolczyki, a mówisz o muzyce ludowej, kulturze ludowej, mądrości ludowej. To tak specjalnie?
Jedno drugiemu nie przeszkadza. Jak zakładam strój ludowy – biżuteria ma być zdjęta, włosy w całości schowane pod chustą. Natomiast na co dzień jestem wolnym człowiekiem i wyglądam tak jak chcę.

Czy biały śpiew, tzw. śpiewokrzyk, jest w kulturze wileńskiej tak obecny, jak np. na Ukrainie?
Każdy naród ma swoją tradycję. Różne słyszałam określenia naszego dawnego śpiewu: śpiewałyśmy „jak te wrony kraczą", „śpiewali tak, że aż świece zgasły". Te nagrania z badań terenowych, z których korzystam, nie są nagrane tak dawno, np. „Tam na polu sosna" jest z 1973 r., a to zupełnie niedawno. Tam nikt nie krzyczy. Śpiewają tak, jak nasze babcie śpiewały.

Dziś ludzie wstydzą się śpiewać.
Wstydzą się też powiedzieć coś do siebie czy nawiązać nową znajomość. Ciekawa jestem, czy są jeszcze takie domówki z gitarą i wspólnym śpiewem. Czy to są już atrakcje 30+?

Może to jest klucz do pojednania polsko-litewskiego? Folklor?
Bardzo lubię wielokulturowe festiwale, polegają na tym, że każdy pokazuje swoje – im bardziej prawdziwe, niewidziane, tym bardziej ciekawe. Mniej nienawiści jeden do drugiego – chyba to jest najlepszym kluczem. Przecież mamy w swoim wileńskim folklorze duży wpływ folkloru litewskiego. Czasami są te same melodie, tylko tekst w różnych językach. O tym w 2006 r. Rimantas Sliužinskas wydał monografię „Lietuvių ir lenkų liaudies dainų sąsajos". Można zobaczyć tam przykłady. Lepiej szukać tego, co nas łączy, a nie tego, co nas dzieli.

To czy nie warto spróbować wprowadzić folkloru do szkół?
Warto edukować młode pokolenie w różnych dziedzinach, folklor jest jedną z nich. Nie jest to coś nieatrakcyjnego, a wręcz przeciwnie, staje się coraz bardziej popularne. Muzyka, śpiew, taniec, rzemiosło – to takie czynności, które pozytywnie wpływają na zdrowie psychiczne. Pomaga to wyciszyć się, odpocząć od szalonego tempa życia.

Zawsze byłaś tak zapoznana z litewską kulturą, z językiem?
Nauczyłam się litewskiego głównie z telenoweli, a potem nauczycielka skrzypiec w szkole muzycznej zobaczyła, że już coś tam kumam, i wtedy zaczęła do mnie mówić po litewsku. Do tego czasu, kiedy jeszcze mieszkałam w Butrymańcach i przyjeżdżałam do babci do Niemenczyna, gdy słyszałam tu litewski, był dla mnie jak chiński! Ani słowa nie rozumiałam. Strasznie mnie to irytowało, dlatego chciałam szybciej się nauczyć.
Myślę, że jest bardzo duża różnica, skąd Polak na Litwie pochodzi – z Wilna czy z rejonu. W Wilnie Polacy mają dużo łatwiejszy dostęp do języka litewskiego. A w rejonie jest z tym dużo trudniej. Tak naprawdę jest więcej tych trudności, takich jak dojazd do miasta, do pracy.

Pamiętam, że kiedy mnie samego uczono litewskiego w szkole, uczono mnie budować zdania, zanim jeszcze znałem słowa.
Pamiętam dokładnie to samo – jeszcze w klasach początkowych miałam jechać z chórem ze szkoły muzycznej na jakiś występ, program był po litewsku, a ja błagałam matkę, żeby mnie zabrała z tego chóru, bo przecież nie znam litewskiego. Nauczycielka powiedziała: „Da radę, na słuch powtórzy". I rzeczywiście, nauczyłam się tych słów ze słuchu, nie rozumiejąc ich.

A teraz polskie zespoły biorą udział w litewskich Świętach Pieśni!
Tak, widziałam. To ogromne święto, dużo uczestników. Na pewno robi wrażenie na młodym człowieku. Sama tylko raz uczestniczyłam w 2003 r., ale do dziś pamiętam, jak ważne i piękne było to wydarzenie.

Jest szansa na zorganizowanie festiwalu wileńskiego folkloru? Czegoś takiego przecież nie ma.
Były „Kwiaty Polskie", jest „Pieśń znad Solczy". Były i są tam epizody z pieśniami wileńskimi, czasem nawet grali cymbaliści. Mamy bardzo mało zespołów wykonujących wyłącznie folklor wileński. Mógłby to być minifestiwal!
Czasami przeskakują takie myśli w mojej głowie. Wiemy, jak jest. Wszystkie inicjatywy trzymają się na konkretnych „motorach", liderach. Czy sama potrafiłabym zorganizować taki festiwal? Nie jestem pewna.

Projekty jednak realizujesz. Zatem jakich można się teraz od ciebie spodziewać i gdzie będziesz je publikować?
Oczywiście na takich platformach jak YouTube czy Spotify. Muszę jeszcze założyć konto na Instagramie. Teraz jest tylko konto na Facebooku. Kaymo² jest zupełnie nowym projektem, więc wszystkie pomysły twórcze planuję realizować w ramach tego zespołu przy Centrum Kultury w Niemenczynie. Dla serca i duszy, dla siebie, zostaje zespół etnograficzny „Łałymka" z Białej Waki oraz studia.

Opowiedz o Kaymo². Czym się różni od twoich poprzednich projektów?

»

eprasa.pl d33df1a7a6

We wszystkich projektach dominowały przeróbki wileńskich pieśni ludowych, ten nie jest wyjątkiem. Wyróżnia go natomiast to, że wykorzystane są też cymbały wileńskie, a stylistycznie jest coraz bliżej tradycji – przynajmniej część melodii i pieśni.
Do projektu Kaymo² dołączyła też wokalistka Ewelina Baniewicz – z zawodu łączy medycynę z biologią, jest kierowniczką laboratorium. Usłyszałam ją przypadkiem na koncercie i od razu zapytałam, czy chce dołączyć. Zgodziła się, z czego niezmiernie się cieszę. Jej korzenie wywodzą się ze wsi Pilakolnia, tak samo jak moje. Rozumie, co śpiewa, a co najważniejsze – lubi nasze smutne pieśni.
Dołączy też mój kolega Laurynas Vaitulevičius, gitarzysta z czasów studiów. Znamy się już 20 lat i od czasu do czasu jednoczymy swoje siły w różnych formacjach muzycznych. Bardzo lubi cymbały, zupełnie nie przeszkadzają mu polskie teksty w pieśniach.

Cymbały są ciutkę od skrzypiec większe **Fot. Andrius Cibulskas**

Wyobrażasz sobie, żeby uczyć o naszej tożsamości wileńskiej w szerszym wymiarze, nie tylko przez muzykę?
Nie tyle uczyć, ile tłumaczyć, co to jest, skąd się bierze, dlaczego mamy tak, a inni inaczej. Często wieczorem, spacerując, przechodzę obok starego cmentarza niedaleko Kościoła św. św. Piotra i Pawła.
Lubię grzebać w zdigitalizowanych metrykach kościelnych. Wszystko w tym życiu jest ze sobą powiązane, interdyscyplinarne. Raczej powiedziałabym, że tego już nas uczą w polskiej szkole – a przynajmniej mogę mówić o tych, w których sama się uczyłam.

I oczywiście mówisz gwarą?
Tak od urodzenia mówiłam w domu, tak zmuszony jest uczyć się – a raczej wspominać z dzieciństwa – mój mąż. Między sobą mówimy po litewsku, on uważa się za Litwina, z czym się nie do końca zgadzam, ale szanuję jego wybór. Czasami nie potrafię w domu w innym języku wyrażać swoich uczuć i emocji. Zresztą u nas, na Wileńszczyźnie, często w rodzinach bywa skomplikowanie z jednym językiem. Zdarzają się takie przypadki, że wstydzą się tego, co swoje, i przechodzą na coś, co uważają za bardziej neutralne, czyli rezygnują ze swojej gwary, a zaczynają mówić po rosyjsku. Ten rosyjski też jest taki trochę inny, dopasowany. Niby lepiej, ale gorzej.

To smutne wnioski. Daj coś weselszego na koniec: jak widzisz Wileńszczyznę za pięć, dziesięć lat?
Myślę, że mamy dobrze. Dużo polskich imprez, piękny Dom Kultury Polskiej, polskie restauracje, dużo zespołów polskich, dużo Polaków w dziedzinie nauki i polityce państwowej. Widzę to też w przyszłości. Co do tradycji trudno prognozować, ale chce się wierzyć, że jednak zajdą zmiany na lepsze i będziemy mocno akcentowali wszystko, co jest wileńskie. Przynajmniej ja osobiście mam takie nastawienie.

Gdyby Litwini zobaczyli taki polonez maturzystów z cymbałami wileńskimi, bardzo by nam tego pozazdrościli...
Nie ciekawiłam się za bardzo, skąd się wzięła ta tradycja, ale jest bardzo piękna. Litwini często sami o sobie z ironią mówią, że Litwin najbardziej się cieszy, kiedy płonie sąsiedzka chałupa!

Jak coś się robi, to zawsze ktoś wyśmieje i komuś się nie spodoba.
Z perspektywy kanapy najbardziej boli, że ktoś coś robi. To nie na Litwie, a raczej w internecie ogółem.
Mamy bardzo dużo mowy nienawiści w internecie i nie tylko. Czasami wystarczy mieć trochę inne zdanie czy gdzieś się wypowiedzieć i masz już negatywne, obraźliwe komentarze. Odnośnie do tego, co robię – na razie nie otrzymałam żadnych negatywnych komentarzy.
Jestem bardzo wdzięczna rodzinie, kolegom i koleżankom w pracy za wsparcie. W moim otoczeniu ludzie potrafią użyć odpowiednich słów, żeby mnie podtrzymać.

No to dajesz, twoje życzenie dla Wileńszczyzny!
Żeby Polacy usiedli kiedyś z Litwinami, być może nawet napili się jakiegoś tradycyjnego trunku, pośpiewali razem – tu jedna pieśń po litewsku, tu druga po polsku, niech nawet któraś po białorusku – i żeby wreszcie się pogodzili, choć raz w życiu. Żeby wreszcie mieć ten święty spokój.
Każdy z nas słyszał choć raz w życiu: „Ty to normalna Polka, o tamci gdzieś są nienormalni”. Stajesz się „normalna” w momencie, gdy poznają cię osobiście. I okazuje się, że nie masz diablich rogów i ogona, a masz serce jak oni. Bo najbardziej nienawidzi się tego, kogo się nie zna osobiście. ■

eprasa.pl d33df1a7a6

– Niedługo do szkoły. Powtórzmy tabliczkę mnożenia, żebyś czuł się pewniej, kiedy zasiądziesz w szkolnej ławce – mówi tato do syna.
– Na pewno wiesz, że dwa razy dwa to cztery. A ile będzie sześć razy siedem?
– Tato, dlaczego ty zawsze rezerwujesz dla siebie łatwiejsze przykłady?!
Dowcipna odpowiedź syna, nieprawdaż?! Ale, ale – naprawdę warto przed rozpoczęciem roku szkolnego przypomnieć sobie nie tylko tabliczkę mnożenia, lecz także zasady pisowni, a w tym najlepiej pomoże czytanie!

Książka na koniec wakacji

„Lato Stiny" autorstwa Leny Anderson

Jak to jest spędzać wakacje tylko z dziadkiem na małej wyspie, którą zewsząd oblewa morze? Przekonajcie się, biorąc do rąk książkę o małej Stinie, która codziennie wypływa z dziadkiem na połów, wyszukuje skarby, które morze wyrzuciło na brzeg, podgląda sztormy oraz słucha morskich opowieści dziadkowego przyjaciela, niejakiego Bujdy. Opowieść pokazuje, że do udanych wakacji nie są potrzebne wielkie baseny czy luksusowe plaże, ale dobre towarzystwo i – przede wszystkim – dużo fantazji. A wtedy nawet skromne wakacje w cichym, dziadkowym domku, zamienią się w niezapomnianą przygodę.

Wakacyjne gry i zabawy

Jazda!

Przygotujcie kilka kartek, ołówek i lustro. Każdy z graczy najpierw rysuje dość krętą „ulicę". Następnie musi przejechać ołówkiem z jednego końca do drugiego, ale może przy tym cały czas patrzeć tylko w lustro! Pozostali uczestnicy zabawy pilnują, żeby nie oszukiwał.
Możecie też rysować labirynty, a nawet pisać w ten sposób swoje imiona.
Rada Pocopotka: Możecie grać na czas albo na punkty. Kto zjedzie z drogi, otrzymuje punkt karny lub mandat. A może spróbujecie narysować kawałek „miasta" – nie tylko ulice, ale i bloki, przejścia dla pieszych, światła. Wtedy zabawa będzie jeszcze ciekawsza!

Połamańce językowe

Chodzi o to, żeby powtórzyć to zdanie kilka razy, i to jak najszybciej!
W wysuszonych sczerniałych trzcinowych szuwarach sześcionogi trzmiel bezczelnie szeleścił w szczawiu trzymając w szczękach strzęp szczypiorku i często trzepocąc skrzydłami.

eprasa.pl d33df1a7a6

Blaszane garnitury

Średniowiecze skończyło się ponad 500 lat temu, ale nie odeszło w zapomnienie! Jest spora grupa ludzi, którzy interesują się zamierzchłymi czasami i je odtwarzają. Dzięki nim średniowiecze żyje!

Średniowiecze kojarzy nam się, przede wszystkim, z rycerzami i piękną, lśniącą zbroją, w której walczyli.

Kto wykonywał te zbroje? Zbroje w średniowieczu robił płatnerz. Dlaczego płatnerz, a nie zbrojarz? Bo nazwa pochodzi… nie, nie od tego, że trzeba płatnerzowi płacić (choć trzeba), tylko od słowa „płat" (metalu), z którego robiło się metalowe garnitury.

Jak wykonać zbroję? Dzisiaj nie ma szkół płatnerskich. A więc jeśli chcielibyście obecnie lub w przyszłości robić zbroje, musielibyście nauczyć się tego sami. A nie jest to takie proste… Aby wykonać replikę średniowiecznego oryginału, najpierw trzeba dokładnie przyjrzeć się rysunkowi lub fotografii zbroi z epoki. Kolejnym krokiem jest zrobienie projektu, w naturalnych rozmiarach. Następnie przystępuje się do pracy z płatami blachy. Współczesny płatnerz samouk potrafi taką zbroję – od stóp po zęby – wykonać w dwa tygodnie!

Ile waży zbroja? Wcale nie tak dużo – jakieś 25 kg! Ciężar poszczególnych elementów jest tak rozłożony, że można w blaszanym ubranku się poruszać. Dla porównania wyposażenie współczesnego żołnierza, z którym musi skakać i biegać po poligonie, waży około 32 kg!

Rodzaje zbroi. Były zbroje bojowe i turniejowe. Te drugie były cięższe, a poza tym niekiedy miały hełm przymocowany do kirysu, czyli marynarki z blachy. W takim ubranku ludzka konserwa rzeczywiście miała problem z wstawaniem z ziemi, gdy zrzucono ją kopią z grzbietu rumaka.

Ile kosztuje blaszany garnitur? Współcześnie wykonane zbroje mają same zalety: są o niebo tańsze od oryginalnych, nikt ich nie nosił, można je kupić spawane na rozmiar. Wdzianko – od stóp do głowy – kosztuje od 2 do 10 tys. litów. Można też ubrać się jeszcze taniej – kolczuga. Można ją zrobić samemu z kółeczek, które są do nabycia w sklepach z artykułami metalowymi.

Labirynt z rycerzem

Którą drogę ma wybrać rycerz, aby mógł uwolnić księżniczkę?

Ciekawostki ze świata

Ale kino!

Administracja jednego z największych kin na świecie, nowojorskiego Radio City Music-Hall, podała do wiadomości, że pod koniec każdego dnia, po ostatnim seansie, z widowni:
– wymiata się **ok. 15 kg** gumy do żucia;
– wynosi nawet **200** najróżniejszych przedmiotów – od latarek elektrycznych do wózków dziecięcych.

Znajdźcie imiona

W poniższych zdaniach ukryły się imiona dziewczynek i chłopaków.

1. Piękne lato jest w tym roku.
2. Niewiastom ekspedycje ekstremalne nie pasują.
3. Kulawy koń szybko nie pogalopuje.
4. Słodka rolada dobrze smakuje.
5. Mama, cieknie!
6. Rolka roluje papier.

eprasa.pl d33df1a7a6

Kiedy dziecko nie chce wracać do szkoły, często myślimy o ocenach. Tymczasem szkoła to nie tylko lekcje **Fot. Adobe Stock**

„Nie chcę wracać do szkoły…”

Anna Pawiłowicz-Janczys

Do rozpoczęcia roku szkolnego zostało dziesięć dni. Dla nas, rodziców, to często moment kompletowania wyprawki, sprawdzania planów i przypominania, że za chwilę trzeba będzie wcześniej wstawać. Dla dzieci i nastolatków oznacza to przede wszystkim jedno: wakacje naprawdę się kończą.

I właśnie teraz w wielu domach pada zdanie: „Nie chcę wracać do szkoły”. Najczęściej odpowiadamy automatycznie: „Nikt nie chce”, „Ja też nie chcę wracać do pracy”, „Przyzwyczaisz się po kilku dniach”. I bardzo często mamy rację. Koniec wakacji oznacza utratę swobody, późnego wstawania i czasu bez ciągłego patrzenia na zegarek. Trudno oczekiwać, żeby każde dziecko z entuzjazmem czekało na poranne pobudki i pierwsze kartkówki. Czasem jednak za słowami: „Nie chcę do szkoły” kryje się coś więcej. I wtedy nie powinniśmy ich lekceważyć.

Nie każda niechęć oznacza problem

Nie diagnozujmy dziecka na podstawie jednego zdania. Nastolatek, który wzdycha na myśl o wrześniu, nie musi mieć problemów w szkole. Może po prostu dobrze spędził wakacje i nie chce, żeby się kończyły. Warto obserwować nie tyle samą deklarację, ile jej intensywność i to, co jej towarzyszy. „Nie chce mi się wracać, bo znowu trzeba będzie rano wstawać” brzmi inaczej, niż: „Nie pójdę tam”, „Nie dam rady” albo „Boję się wrócić”.

Zwróćmy też uwagę na zachowanie. Czy dziecko nadal spotyka się ze znajomymi? Rozmawia o kolegach z klasy? Potrafi żartować z nadchodzącego roku? Spokojnie uczestniczy w przygotowaniach? Jeśli tak, prawdopodobnie mamy do czynienia ze zwyczajną niechęcią do końca wakacji.

Większą uwagę powinny zwrócić nagłe zmiany: problemy ze snem, rozdrażnienie, płaczliwość, wycofanie, bóle brzucha lub głowy pojawiające się przy rozmowach o szkole, unikanie kolegów czy zdecydowana odmowa roz- »

eprasa.pl d33df1a7a6

mowy o powrocie. Nie chodzi o to, żeby natychmiast szukać choroby. Chodzi o zadanie prostego pytania: „Dlaczego?”.

„Dlaczego?” nie może brzmieć jak przesłuchanie

Dzieci nie zawsze potrafią powiedzieć, co się dzieje. Szczególnie nastolatki. Na pytanie: „Dlaczego nie chcesz iść do szkoły”, możemy usłyszeć: „Bo nie”, „Daj mi spokój”, „Szkoła jest bez sensu”. To nie musi oznaczać, że dziecko coś przed nami ukrywa. Czasami samo nie potrafi nazwać tego, czego się obawia. Zamiast rozpoczynać przesłuchanie, zostawmy przestrzeń do rozmowy. Możemy powiedzieć: „Widzę, że kiedy mówimy o szkole, robisz się nerwowy. Co najbardziej denerwuje cię w tym powrocie?” albo: „Gdybyś mógł zmienić jedną rzecz w szkole, co by to było?”.

Odpowiedź może przyjść od razu, wieczorem albo dopiero po kilku dniach. Najważniejsze, żeby naszą pierwszą reakcją nie było: „Nie przesadzaj”.

Kiedy dziecko nie chce wracać do szkoły, często myślimy o ocenach. Może ma zaległości? Nie radzi sobie z matematyką? Boi się egzaminów?

Tymczasem szkoła to nie tylko lekcje. To również grupa rówieśnicza, przyjaźnie, konflikty, potrzeba akceptacji i codzienne funkcjonowanie wśród ludzi, których nie można sobie wybrać.

Nasze dziecko może bać się powrotu, ponieważ przed wakacjami pokłóciło się z przyjacielem, zostało wykluczone z grupy, ktoś je ośmieszał albo krążą o nim plotki. W klasowej grupie internetowej mogło wydarzyć się coś, o czym nic nie wiemy. W poważniejszych przypadkach może chodzić o przemoc rówieśniczą, także tę, która podczas wakacji przeniosła się do internetu. Dlatego zdania: „Nie chcę tam wracać”, nie sprowadzajmy wyłącznie do pytania o naukę.

A jeśli problemem jest nauczyciel?

Dziecko może również obawiać się konkretnego nauczyciela. Nam, rodzicom, łatwo wtedy wpaść w jedną z dwóch pułapek. Pierwsza to natychmiastowe uznanie, że nauczyciel się uwziął i trzeba interweniować. Druga – automatyczne stanięcie po stronie dorosłego: na pewno coś zrobiłeś, nauczyciel bez powodu się nie czepia. Obie reakcje mogą zamknąć rozmowę.

Najpierw ustalmy fakty. Co się wydarzyło? Czy sytuacja się powtarzała? Czy chodzi o wymagania nauczyciela, konflikt, poczucie niesprawiedliwości, publiczne zawstydzanie, a może lęk przed konkretnym przedmiotem? Dopiero później zdecydujmy, czy potrzebna jest rozmowa ze szkołą.

Jest jeszcze jedna przyczyna niechęci do powrotu, którą łatwo przeoczyć – przeciążenie.

Przypomnijmy sobie poprzedni rok naszego dziecka: szkoła, prace domowe, korepetycje z angielskiego, trening, szkoła muzyczna, dodatkowa matematyka. Do tego oczekiwanie dobrych ocen i pytania o przyszłość.

> Tymczasem szkoła to nie tylko lekcje. To również grupa rówieśnicza, przyjaźnie, konflikty, potrzeba akceptacji i codzienne funkcjonowanie wśród ludzi, których nie można sobie wybrać.

Wakacje mogły być pierwszym od wielu miesięcy okresem, kiedy dziecko naprawdę odpoczęło. Nic dziwnego, że nie chce wracać do grafiku wypełnionego od rana do wieczora. Zanim więc zapiszemy je na kolejne zajęcia, zastanówmy się, czy wszystko, co robiliśmy w ubiegłym roku, naprawdę musi wrócić we wrześniu. Odpoczynek, nuda i czas bez zaplanowanego celu również są potrzebne.

Kiedy powinniśmy reagować?

Nie każde: „Nie chcę do szkoły” wymaga pomocy specjalisty. Nie bagatelizujmy jednak silnego i utrzymującego się lęku, problemów ze snem, częstych dolegliwości fizycznych związanych z myśleniem o szkole, napadów płaczu lub paniki, wyraźnego wycofania, długotrwałego obniżenia nastroju ani informacji o przemocy czy prześladowaniu.

Nie czekajmy wtedy tygodniami w nadziei, że jak zacznie chodzić, to mu przejdzie. W zależności od sytuacji porozmawiajmy z wychowawcą lub psychologiem szkolnym, a jeśli problemy są nasilone – poszukajmy profesjonalnej pomocy poza szkołą.

Szczególnie poważnie traktujmy informacje o przemocy. Nie uczymy dziecka odporności, pozostawiając je samo w sytuacji, w której jest krzywdzone. ■

Dziesięć dni to wystarczająco dużo

Do szkoły zostało dziesięć dni. Nie musimy zamieniać ich w wielką operację przygotowawczą. Nie przypominajmy codziennie, że wakacje się kończą, nie straszmy pobudkami, sprawdzianami i obowiązkami.
Znajdźmy za to czas na spokojną rozmowę. Zapytajmy: „Na co najbardziej czekasz?”, „Czego najbardziej nie chcesz?”, „Czy jest coś, czego się obawiasz?”, „Co chciałbyś, żeby w tym roku było inaczej?”. Być może usłyszymy tylko: „Nie chce mi się rano wstawać”. I bardzo dobrze. Ale możemy też dowiedzieć się czegoś, czego nasze dziecko od dawna nie potrafiło nam powiedzieć.
Naszym zadaniem nie jest sprawić, żeby dziecko koniecznie cieszyło się z powrotu do szkoły. Nie musimy przekonywać go, że szkoła jest wspaniała, a nowy rok będzie najlepszy w jego życiu.
Znacznie ważniejsze jest, żeby wiedziało, że kiedy mówi: „Nie chcę tam wracać”, my nie tylko to usłyszymy. Zapytamy również: „Dlaczego?” i będziemy gotowi wysłuchać odpowiedzi.

eprasa.pl d33df1a7a6

Dziesięć sierpniowych słoików

Elżbieta Monkiewicz (@elzbieta.mon na Instagramie)

Sierpień i wrzesień to prawdziwy złoty czas na przetwory. Ogrody warzywne i sady pękają w szwach od zbiorów pomidorów, papryki, bakłażanów, cukinii, cebuli, czosnku i jabłek. Warto poświęcić kilka dni na przygotowanie zapasów, aby w zimowe wieczory móc rozkoszować się zapachami i smakami lata.

Do sporządzenia konfitury malinowej wystarczą trzy składniki. W ten sposób zatrzymamy smak lata **Fot. Adobe Stock**

Nie powinien to być kolejny obowiązek, który trzeba „odpracować" przed jesienią. Lepiej spojrzeć na to jak na bardzo praktyczną kulinarną inwestycję: dziś mamy nadwyżkę, a za kilka miesięcy – słoik, który może uratować obiad, stanie się miłym jadalnym prezentem lub okazją do zaskoczenia gości, którzy powiedzą: „Gdzie przepis? Podziel się nim, proszę!". W zeszłym tygodniu wspomniałam o dziesięciu przetworach, które warto mieć w dobrze zaopatrzonej kuchni. Teoria smakuje jednak najlepiej, gdy zamienia się w praktykę. Dlatego w tym tygodniu przygotowałam zestaw przepisów na przetwory, które naprawdę warto zrobić właśnie teraz.

Złote zasady udanych przetworów:

- Najlepsze przetwory zaczynają się od świeżych, dojrzałych owoców i warzyw oraz perfekcyjnie wyparzonych słoików. Nie warto konserwować produktów uszkodzonych lub przejrzałych, bo jakość gotowego przetworu będzie dokładnie taka, jak jakość użytych składników.
- Zawsze sterylizuj słoiki i wieczka.
- Przestrzegaj proporcji octu i soli podanych w przepisie.
- Przechowuj zamknięte słoiki w ciemnym i chłodnym miejscu.
- Jeśli wieczko jest spuchnięte lub przetwory zmieniły zapach, nie używaj ich.

Chutney śliwkowy

Składniki: 1,5 kg śliwek • 2 cebule • 300 g brązowego cukru • 250 ml octu jabłkowego • 1 łyżeczka imbiru • 1 łyżeczka białej i czarnej gorczycy • 1 łyżeczka cynamonu • 1 łyżeczka soli

Wybierz pestki ze śliwek, drobno pokrój, cebulę pokrój w drobną kostkę. Następnie wszystkie składniki włóż do garnka. Gotuj na małym ogniu ok. 90 minut. Często mieszaj. Gdy masa zgęstnieje, przełóż do gorących słoików, zamknij pokrywkami i odwróć do góry dnem na 10 minut. Doskonały dodatek do pieczonych mięs i serowych desek.

»

eprasa.pl d33df1a7a6

Sos pomidorowy do codziennego użytku

Składniki na 6 słoików po 500 ml: 5 kg mięsistych pomidorów • 2 cebule • 6 ząbków czosnku • 2 łyżki soli • 1 łyżka cukru • garść świeżej bazylii • 3 łyżki oliwy

Pomidory sparz i obierz ze skórki, pokrój i gotuj ok. 60 minut. Następnie przetrzyj przez sito. Można to zrobić blenderem, ale trzeba unikać zbytniego napowietrzenia masy.
Na oliwie zeszklij drobno posiekaną cebulę i czosnek i dodaj je do pomidorów wraz z przyprawami. Gotuj jeszcze 30–40 minut do zgęstnienia, ciągle mieszając. Gorący sos przelej do wyparzonych słoików i pasteryzuj 20 minut.
Idealny do makaronu, pizzy, zup i duszonych potraw.

Warzywny gulasz z bakłażana, papryki i pomidorów

Składniki: 2 kg bakłażanów • 1,5 kg pomidorów • 1 kg czerwonej papryki • 500 g cebuli • 150 ml oliwy • 2 łyżki soli • 2 łyżki cukru • 100 ml octu 6 proc.

Bakłażany pokrój w kostkę i posól, po 30 minutach opłucz (najlepiej to zrobić w suszarce do sałaty) i osusz papierowym ręcznikiem. Pomidory zmiel w maszynce do mielenia mięsa. Paprykę pokrój w dość grube paski. Cebulę pokrój w piórka i zeszklij na oliwie. Wszystkie warzywa włóż do garnka z grubym dnem i duś razem około godziny, mieszając co jakiś czas. W końcu dodaj cukier, pozostałą sól i ocet, zagotuj razem i gorący gulasz przełóż do słoików. Pasteryzuj 20 minut. Świetny do kanapek, makaronu i dań mięsnych.

Mrożone jagody

Najlepiej mrozić: borówki • maliny • jeżyny • jagody leśne • porzeczki

Owoce umyj i dokładnie osusz – najlepiej to zrobić na tacy przykrytej papierowymi ręcznikami lub w zamkniętym płaskim kontenerze. Wstaw do lodówki na jedną dobę, by jagody dobrze się ochłodziły. Następnie zimne jagody rozłóż pojedynczą warstwą na tacce do zamrażania i mroź przez kilka godzin. Przesyp do woreczków. Dzięki wstępnemu ochłodzenie i dokładnemu osuszeniu nie zbiją się w jedną bryłę.

Płatki róży ucierane z cukrem

Składniki: 200 g pachnących płatków róży • 400 g cukru • 1 łyżeczka soku z cytryny

Mimo że róże damasceńskie już dawno przekwitły, bo zwykle kwitną tylko raz, to i w sierpniu możemy napotkać róże o pięknym kolorze i zapachu, które ponawiają kwitnienie. A więc nie zaprzepaśćmy tej okazji. Usuń białe końcówki płatków – to bardzo ważne, bo właśnie tu kryje się gorycz. Ucieraj z cukrem partiami, w końcu dodaj sok z cytryny. Przełóż do małych słoiczków. Przechowuj w lodówce.

Ogórki konserwowe – zawsze chrupiące

Składniki na 4 litrowe słoiki: 2 kg małych ogórków, niedawno zebranych • koper z baldachami • 4 ząbki czosnku • kawałek korzenia chrzanu • gorczyca
Zalewa: 1 l wody • 250 ml octu 10 proc. • 2 płaskie łyżki soli • 5 łyżek cukru

Odetnij końcówki ogórków. Same ogórki zalej zimną, prawie lodowatą wodą i pozostaw na 2 godziny w zimnej wodzie. Do słoików włóż koper, czosnek, chrzan i pół łyżeczki gorczycy. Ułóż ciasno ogórki. Zagotuj zalewę ze wszystkich produktów oprócz octu, ocet wlej na samym końcu; doprowadź do wrzenia i od razu wyłącz. Zalej ogórki wrzącą zalewą, przykryj słoiki pokrywkami i pasteryzuj 8-10 minut.

Konfitura malinowa

Składniki: 1 kg malin • 700 g cukru • sok z 1 cytryny

Maliny wsyp do garnka, wlej sok z cytryny i gotuj na małym ogniu, aż się zagotuje. Wsyp cukier, szybko wymieszaj i zdejmij z ognia. Mieszaj, aż cukier się rozpuści.
Gorącą konfiturę przełóż do słoików. Odwróć do góry dnem na 10 minut. Według tej samej zasady można przygotować konfiturę truskawkową, wiśniową lub jagodową.

Mrożone zioła

Najlepiej nadają się: pietruszka • koperek • bazylia • szczypiorek • lubczyk

Zioła umyj i dokładnie osusz, tak samo jak postępowałeś z jagodami (przepis obok). Drobno posiekaj i schłodź przez parę godzin w lodówce. Następnie można postępować na dwa sposoby – albo od razu zamrozić w woreczkach, albo umieścić posiekane zioła w foremkach na lód. Zalej niewielką ilością oliwy lub wody. Zamroź. Zimą wystarczy wrzucić kostkę prosto do potrawy.

Kandyzowane śliwki

Składniki: 1 kg śliwek • 800 g cukru • 500 ml wody

Z cukru i wody zagotuj syrop, dodaj śliwki, zagotuj i od razu zdejmij z ognia. Odstaw na 24 godziny. Wybierz śliwki z syropu, syrop zagotuj, włóż śliwki z powrotem i zagotuj. Powtórz proces jeszcze 2 razy. Owoce osusz na kratce w piekarniku przy 50°C, aż nie będą się kleiły. Przechowuj w słoikach lub puszkach.

Ocet porzeczkowy

Składniki: 500 g jagód czarnej porzeczki • 500 ml octu winnego białego • 100 g cukru

Jagody zasyp cukrem, zalej octem, przełóż do wyparzonego słoja. Odstaw na 3–4 tygodnie w ciemnym miejscu. Przecedź przez gazę i przelej do butelek. Doskonały dodatek do dressingów, marynat i sosów.

eprasa.pl d33df1a7a6

CRINK, czyli oś rozbójników

Antoni Rybczyński

Czołowe autokracje świata – Chiny, Rosja, Iran i Korea Północna – w coraz większym stopniu czerpią ze wzajemnych zasobów, potencjału wojskowego i wpływów geopolitycznych, aby oprzeć się presji Zachodu. Dwie wojny, jedna na Ukrainie, druga na Bliskim Wschodzie, zacieśniły ich współpracę do tego stopnia, że analitycy mówią dziś już wręcz o bloku określanym jako CRINK.

Wojna na Ukrainie stała się głównym polem wymiany potencjału wojskowego między członkami CRINK **Fot. Adobe Stock**

Dla Waszyngtonu – wspólnego wroga, który jednoczy wspomniane reżimy – strategiczny dylemat nie polega już tylko na tym, czy te cztery kraje współpracują, ale na tym, w jakim stopniu ich sojusz zmienia równowagę sił jednocześnie na wielu teatrach działań – od Ukrainy przez Zatokę po Daleki Wschód.

Choć współpraca między czterema państwami – coraz częściej określana akronimem CRINK (od pierwszych liter nazw: China, Russia, Iran, North Korea) – już funkcjonuje, to nie stanowi ona formalnego sojuszu porównywalnego z NATO. CRINK nie jest ani ściśle zintegrowanym blokiem wojskowym, ani jedynie retoryczną figurą. Funkcjonuje natomiast jako elastyczna sieć, w ramach której członkowie współpracują tam, gdzie ich interesy się pokrywają, co pozwala każdemu z nich zniwelować część swoich strategicznych słabości. Wojna na Ukrainie stała się głównym polem wymiany potencjału wojskowego między członkami CRINK.

Ukraiński poligon

Zaprojektowane w Iranie drony Shahed odegrały kluczową rolę w rosyjskiej kampanii na wczesnych etapach pełnej inwazji na Ukrainę rozpoczętej przez Moskwę w lutym 2022 r. Pjongjang wysłał oddziały, by wesprzeć działania wojenne Moskwy – szacunki wzrosły z początkowych 12–15 tys. żołnierzy do doniesień sugerujących liczbę sięgającą nawet 50 tys., a Korea Północna dostarczyła również pociski balistyczne.

Rola Chin pozostaje mniej widoczna pod względem działań zbrojnych, ale nadal jest znacząca. Pekin pomógł sfinansować rosyjską wojnę, kupując rosyjską energię, a jednocześnie dostarczając Moskwie technologie podwójnego zastosowania.

– Rosja chce pozyskać kolejne 30 tys. żołnierzy z Korei Północnej: już od czerwca trwają przygotowania w obwodzie woroneskim, aby ich przyjąć – ujawnił prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. »

eprasa.pl d33df1a7a6

Ponadto, według Kijowa, Korea Północna zamierza przekazać Rosji nowe wyrzutnie rakiet balistycznych. W przeszłości przykładów takiej współpracy nie brakowało: Pjongjang wysłał na pomoc Moskwie ok. 20 tys. żołnierzy oraz dużą ilość amunicji.

Z kolei Rosja przekazuje Iranowi dane wywiadowcze na temat amerykańskich baz wojskowych na Bliskim Wschodzie. W marcu „Wall Street Journal" donosił, że Rosja udostępnia Iranowi zdjęcia satelitarne, które pozwalają Teheranowi lepiej zaplanować ataki na obiekty USA i ich sojuszników.

Współpraca militarna

To tylko kilka epizodów w długiej historii współpracy czterech autorytarnych reżimów – Rosji, Chin, Iranu i Korei Północnej – na arenie międzynarodowej. Współpraca polityczno-dyplomatyczna coraz częściej uzupełniana jest współpracą wojskowo-technologiczną i gospodarczą. Analitycy mówią o „osi niestabilności" lub „osi wstrząsów" (axis of upheaval), aktywnie przeciwstawiającej się zachodnim demokracjom.

Partnerstwo tych reżimów wzmacnia potencjał militarny wszystkich przeciwników Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. Jednocześnie osłabia niektóre instrumenty polityki zagranicznej, takie jak międzynarodowe sankcje. Dzięki współpracy kraje te stają się silniejsze militarnie, podczas gdy różne formy nacisku tracą na skuteczności.

> Te cztery kraje nie mają wspólnego traktatu o wzajemnej obronie, ujednoliconej struktury dowodzenia ani wiążącej doktryny strategicznej. Są zjednoczone w dążeniu do osłabienia sąsiednich państw, demokracji, a w szczególności roli i wiarygodności USA.

Korzyści te ujawniły się najwyraźniej podczas wojny na Ukrainie, która stała się głównym katalizatorem pogłębienia tych relacji. Chiny, Iran i Korea Północna – każdy z tych krajów – umożliwił Rosji prowadzenie wojny w sposób, który bez ich wsparcia byłby po prostu niemożliwy. Korea Północna dostarczała ogromne ilości amunicji i wysłała też tysiące żołnierzy na front. Z kolei Iran na początku wojny dostarczał Moskwie drony i amunicję.

Jednak to Chiny pozostają najważniejszym partnerem Rosji. Pozwoliły one Moskwie ominąć zachodnie sankcje i kontrolę eksportową, zapewniając dostęp do półprzewodników, komponentów i innych kluczowych technologii niezbędnych do utrzymania rosyjskiego przemysłu obronnego. Chiny nadal kupują duże ilości rosyjskiej ropy, zapewniając rosyjskiej gospodarce niezbędne dochody i pomagając w finansowaniu wojny.

Wspólny wróg

Dużo uwagi poświęca się temu, co otrzymuje Rosja, ale równie ważne jest zrozumienie, czym się dzieli. Moskwa znacznie wzmacnia potencjał wojskowy każdego ze swoich partnerów.

Z Pjongjangiem zawarto umowę o wzajemnej obronie i choć większość współpracy pozostaje utajniona, wiadomo, że Korea Północna poszukuje pomocy w zakresie technologii satelitarnych, zwiększenia celności i zasięgu swoich rakiet, wzmocnienia sił podwodnych oraz innych zaawansowanych systemów i technologii wojskowych. Rosja dysponuje wiedzą specjalistyczną w wielu z tych dziedzin.

Chiny stanowią nieco inny przypadek, ponieważ w wyniku ich modernizacji wojskowej liczba obszarów, w których Rosja może wnieść swój wkład, uległa zmniejszeniu. Niemniej jednak technologie związane z atomowymi okrętami podwodnymi – w szczególności zmniejszenie ich wykrywalności akustycznej – nadal mają ogromne znaczenie. Zwłaszcza w przypadku konfliktu wokół Tajwanu.

> Rola Chin pozostaje mniej widoczna pod względem działań zbrojnych, ale nadal jest znacząca. Pekin pomógł sfinansować rosyjską wojnę, kupując rosyjską energię, a jednocześnie dostarczając Moskwie technologie podwójnego zastosowania.

Jeśli chodzi o Iran, Rosja zapewniła wsparcie wywiadowcze oraz przekazała Teheranowi zaawansowane technologie produkcji bezzałogowych statków powietrznych, opracowane w oparciu o doświadczenia z działań bojowych na Ukrainie.

CRINK spaja wspólna opozycja wobec potęgi Stanów Zjednoczonych. Wszystkie cztery kraje uważają, że obecny system międzynarodowy nie zapewnia im takiego wpływu i statusu, na jakie ich zdaniem zasługują. Współpraca pozwala im skuteczniej rzucać wyzwanie temu systemowi.

Rządy krajów „osi wstrząsów" coraz częściej postrzegają współczesną sytuację międzynarodową jako taką, w której siła decyduje o przebiegu wydarzeń, a słabsze państwa pozostają bezbronne. Takie postrzeganie wzmacnia motywację do współpracy. Razem są silniejsi. Ponieważ każdy z członków może pomóc zrekompensować słabości ekonomiczne, technologiczne lub wojskowe innego, presja wywierana na jeden kraj może zostać częściowo zrównoważona dzięki współpracy z pozostałymi.

Te cztery kraje nie mają wspólnego traktatu o wzajemnej obronie, ujednoliconej struktury dowodzenia ani wiążącej doktryny strategicznej, a analitycy twierdzą, że nie wydaje się, by łączyła je jakakolwiek ideologia wykraczająca poza sprzeciw wobec Zachodu, a zwłaszcza wspólny sprzeciw wobec porządku światowego kierowanego przez Stany Zjednoczone. Są zjednoczone w dążeniu do osłabienia sąsiednich państw, demokracji, a w szczególności roli i wiarygodności USA. ■

eprasa.pl d33df1a7a6

Powitanie w Dżakarcie po locie z Kostaryki do Indonezji, 2016 r. „Pilot de facto nie wie, kiedy wróci do domu"
Fot. archiwum prywatne

Z Wilna w stronę nieba. 48 lat życia z lotnictwem

Rozmawiała Brenda **Mazur**

Nawet najlepsza szkoła lotnicza i najlepszy instruktor nie sprawi, że ktoś zostanie lotnikiem. Bywa, że ten ktoś kierował się tylko marzeniami, nie zdając sobie sprawy ze swoich słabości. Wie o tym Wiktor Mentelis – kapitan załogi, pilot instruktor i egzaminator. Nadal czynny zawodowo. Jak sam mówi: „Niebo nigdy mi się nie znudziło!".

Brenda Mazur: Niedługo minie pół wieku Pana pracy w lotnictwie. Pamięta Pan moment, w którym pomyślał: „To będzie moje życie"?
Wiktor Mentelis: Wydaje mi się, że wszystko zaczęło się w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem samolot na niebie. Zafascynował mnie ten ciężki, metalowy kolos, który wbrew grawitacji unosił się wysoko nad ziemią. Zachwyciły potężny huk silników i biały ślad na niebie. Zastanawiałem się, skąd ten samolot leci, dokąd zmierza i kim są ludzie, którzy za chwilę znajdą się w zupełnie innym miejscu. To było dla mnie coś w rodzaju cudu techniki. Wtedy chyba po raz pierwszy pomyślałem, że chcę zostać pilotem. I dziś, kiedy przyjaciele pytają mnie, kim byłbym, gdybym nie został lotnikiem, nie potrafię wskazać innej odpowiedzi, bo jej nie miałem i nie mam. To było i wciąż jest moje życie.

Aby kształcić się w tak wysoce technicznym zawodzie, trzeba było mieć zdolności do przedmiotów ścisłych. Czy był Pan w nich mocny?
Bardzo lubiłem fizykę, matematykę i sport. Byłem dobrym uczniem. W Szkole Średniej nr 29 w Wilnie moja średnia ocen wynosiła prawie 4,90. Po maturze w 1976 r. wybrałem Kirowohradzką Szkołę Lotnictwa i Nawigacji Cywilnej na Ukrainie (obecnie w Kropywnyckim), gdzie kształciłem się jako nawigator. Uczelnię ukończyłem z wyróżnieniem w 1979 r. Następnie studiowałem w Akademii Lotnictwa w Leningradzie.
Po studiach, które ukończyłem w 1985 r., zdecydowałem wrócić do Wilna i rozpocząłem pracę w radzieckim oddziale Aerofłotu na stanowisku nawigatora. Najpierw latałem na An-24, później na Tu-134. Z czasem zostałem instruktorem i głównym nawigatorem wileńskiego oddziału lotnictwa cywilnego.
Po odzyskaniu przez Litwę niepodległości w 1991 r. dołączyłem do tworzących się Litewskich Linii Lotniczych (LAL). Przez pewien czas pracowałem jako dyrektor ds. komercyjnych, choć, jak przyznaję, zawsze znacznie bardziej ciągnęło mnie do samolotu niż do biurka. Pracowałem tam niecały rok. W pamięci zapisał mi się pierwszy lot Litewskich Linii Lotniczych, który odbył się 21 grudnia 1991 r. na Boeingu 737, na trasie Wilno–Kopenhaga. Od tego dnia zaczęliśmy latać już pod swoją flagą.
W 1996 r. po specjalnym szkoleniu i treningu w Londynie rozpocząłem pracę jako drugi pilot na Boeingach 737-200 i 737-300/500. W 2005 r. zostałem kapitanem Boeinga 737 300-900, w 2007 r. – kapitanem i pilotem-instruktorem na Boeing 737 300-900. W 2013 r. po szkoleniu w Centrum Szkolenia Pilotów w Paryżu, Flight Safety International (FSI), otrzymałem prawo latania samolotem Embraer 170/190.

Ile godzin spędził Pan w powietrzu, czy to się da obliczyć?
Mam na koncie ponad 17,5 tys. godzin lotów.

I nadal Pan lata.
Tak. Po 2008 r. (po prywatyzacji) wyszedłem z kompanii – nie mogłem się zgodzić z pewnymi zmianami, które tam nastąpiły, a które dotyczyły pilotów. Po prostu stosunek nowych biznesowych władz do pracy pilotów był dla mnie nie do zaakceptowania.
Zacząłem wówczas pracować w wileńskim centrum szkoleniowym jako pilot-instruktor na Boeingach 737 i równocześnie podjąłem się pracy dla jednej z irlandzkich kompanii, która zajmowała się testowaniem samolotów oraz demonstracją samolotów przeznaczonych dla nowego klienta (ang. demo flight), a także przebazowaniem samolotu z jednego państwa do drugiego, z jednego kontynentu na drugi, tzw. lotem pustym (ang. ferry flight). Taka sytuacja ma też np. miejsce wtedy, kiedy kończy się leasing samolotu i trzeba odstawić go do właściciela. »

eprasa.pl d33df1a7a6

Obecnie nadal pracuję w kilku kompaniach jako kapitan (pilot--instruktor) do wykonywania test/demo/ferry lotów. Podjąłem się też pracy pilota-instruktora w centrum szkolenia pilotów w Hiszpanii, na samolotach Boeing 737 300-900 i Embraer 170-195. Jednocześnie jestem egzaminatorem (senior examiner) w Transporto Kompetencijų Agentūra (TKA). Mam prawo egzaminować i oceniać pilotów Boeing 737 i Embraer 170-195 w Unii Europejskiej.

Jak wyglądało lotnictwo, kiedy zaczynał Pan swoją zawodową drogę? Co najbardziej różniło je od tego, które znamy dziś?
W tym względzie mam dwojakie odczucie. Warunki mamy wspaniałe – wyposażenie samolotów, technika, elektronika na najwyższym poziomie, ale z drugiej strony praca pilota jest dzisiaj o wiele cięższa. Dawniej praca była spokojniejsza, uporządkowana co do dokładności lotu, wiele rzeczy można było przewidzieć. Dzisiejsi piloci, szczególnie ci pracujący na liniach low cost, są eksploatowani ponad miarę.
Praca pilota opiera się dziś na lataniu „wokół komina" w maksymalnych limitach czasu pracy i ciągłej walce z opóźnieniami w zatłoczonej przestrzeni powietrznej. Odległości między samolotami mierzone w wysokościach, jak i odległościach, są zmniejszone do minimum, a to wymaga ogromnej koncentracji pilotów. Oczywiście nowe technologie są bardzo pomocne, ale natężenie ludzkiego umysłu jest cały czas.
Poza tym loty odbywają się często w nocy czy wczesnym rankiem, co wiąże się z brakami snu. Zdarzają się niespodziewane opóźnienia lotów, jakieś strajki na lotniskach, czego dawniej nie było. Pilot de facto nie wie, kiedy wróci do domu.

Czy latanie jest bezpieczne?
Latanie samolotem jest najbezpieczniejszym środkiem transportu na świecie. Wszystkie badania i statystyki pokazują, że szansa na katastrofę jest ekstremalnie niska i wynosi zaledwie ułamek promila na milion lotów, co czyni samolot o wiele bezpieczniejszym niż samochód czy pociąg.
Nowoczesne maszyny mają podwójne lub potrójne systemy zapasowe, jak system elektrycznego zasilania samolotu czy system hydrauliki. Komputery pokładowe uruchamiają automatyczne ostrzeganie przed zderzeniem z zie- »

> Zafascynował mnie ten ciężki, metalowy kolos, który wbrew grawitacji unosił się wysoko nad ziemią. Zachwyciły potężny huk silników i biały ślad na niebie. Zastanawiałem się, skąd ten samolot leci i dokąd zmierza.

Po pierwszym locie jako kapitan Boeinga B737, 2005 r. „To nie jest dla mnie praca, to jest moje ukochane hobby!"
Fot. archiwum prywatne

eprasa.pl d33df1a7a6

W czasie testu w niebie Malezji, 2022 r. Wiktor Mentelis obecnie pracuje jako kapitan do wykonywania test/demo/ferry lotów **Fot. archiwum prywatne**

mią lub innymi samolotami. Każdy samolot przechodzi stałe kontrole techniczne przed każdym rejsem, a przepisy lotnicze są surowe. Piloci są bardzo dobrze wyszkoleni.

Przez te wszystkie lata był Pan nie tylko pilotem, lecz także instruktorem i egzaminatorem. Proszę o tym opowiedzieć.

Od 2008 r. moja praca wygląda nieco inaczej. Nie zasiadam już za sterami samolotów pasażerskich jako kapitan. Zajmuję się szkoleniem i egzaminowaniem pilotów, a także testowaniem samolotów i ich przebazowaniem.

Często jestem wzywany do sprawdzenia maszyny po remoncie. To bardzo szczegółowy proces – zaczynamy od kontroli dokumentacji i wykonanych napraw, następnie sprawdzamy wszystkie systemy na ziemi, a na końcu wykonujemy lot testowy. Jeśli wszystko działa prawidłowo, samolot otrzymuje certyfikat zdatności do lotu. Podobne kontrole przeprowadzamy również wtedy, gdy samolot jest leasingowany i nowy użytkownik chce mieć pewność co do jego stanu technicznego.

Równolegle pracuję jako pilot-instruktor i egzaminator. Współpracuję z hiszpańską firmą, szkoląc pilotów na Boeingach 737 oraz Embraerach 170-190. Prowadzę zajęcia teoretyczne i szkolenia na symulatorach, oczywiście w języku angielskim. Jestem też senior examinerem w litewskiej TKA.

W innych państwach nazywa się to CAA (Civil Aviation Authority) – jest to organ administracji danego państwa odpowiedzialny za nadzór nad bezpieczeństwem i regulacją rynku oraz przestrzeganiem przepisów w lotnictwie cywilnym. To właśnie CAA nadaje tytuł egzaminatora.

Czy zdarzyło się Panu nie zaliczyć komuś egzaminu, mimo że wiedział Pan, że będzie to dla tej osoby bardzo trudne?

Prawdą jest, że nawet najlepsza szkoła lotnicza i najlepszy instruktor nie sprawi, że ktoś zostanie lotnikiem. Bywa, że ten ktoś kierował się tylko marzeniami, nie zdając sobie sprawy ze swoich słabości (np. jest nieodporny na porażki). Przyczyną niepowodzenia bardzo często nie jest brak umiejętności pilotażowych, lecz podstawowe błędy związane z podejmowaniem decyzji, stresem i organizacją lotu.

Na przykład błędem jest niestabilne podejście do lądowania – próba ratowania „zepsutego" manewru, zamiast odejście na następny krąg – czy utrata kontroli nad prędkością, błędy w nawigacji, utrata orientacji w terenie połączona z paniką, zamiast spokojnej analizy przyrządów. Są to sytuacje dyskwalifikujące zaliczenie egzaminu. I dla egzaminatora jest trudne podjęcie tej decyzji, gdy widzi przed sobą pasjonata lotnictwa.

Czy współczesne lotnictwo jest bezpieczniejsze i lepsze od tego sprzed lat? A może pod pewnymi względami coś jednak straciliśmy?

To bardzo trudne do porównania. Posłużę się przykładem. Kiedyś miałem Ładę Żyguli. W swoich czasach był to naprawdę dobry i nowoczesny samochód. Co najważniejsze, mogłem przy nim zrobić właściwie wszystko sam – nigdy nie musiałem jeździć do serwisu. Dzisiejszego samochodu, naszpikowanego elektroniką, nawet nie próbuję naprawiać. Mogę go co najwyżej umyć albo odkurzyć.

Z samolotami jest trochę podobnie. Te dawne były naprawdę dobre, a przy tym prostsze konstrukcyjnie. Pilot miał na pokładzie większą możliwość samodzielnego działania – mógł o czymś zdecydować, coś wyregulować, zareagować bezpośrednio na sytuację.

Dzisiejsze samoloty są zupełnie inne. Skomputeryzowane, niezwykle zaawansowane technologicznie i pod wieloma względami wspaniałe. Ale pilot ma dziś znacznie »

> Piloci muszą cały czas utrzymywać wysoki poziom wiedzy technicznej. I z całą świadomością podkreślam, że pilot kompanii lotniczej wie, jak się zachować w niebezpieczeństwie. Jak się obudzi lotnika w środku nocy i zapyta go o pewne wyuczone rzeczy, to on bez zająknięcia powie, jak trzeba działać.

eprasa.pl d33df1a7a6

mniej możliwości ingerowania w ich pracę. Obowiązują określone procedury, a wiele decyzji i funkcji przejęły systemy. Dlatego porównywanie dawnych i współczesnych samolotów chyba nie ma większego sensu. To po prostu dwa różne światy.
Jest jednak coś, na co zwróciłbym uwagę. Kiedyś, zarówno piloci, jak i inżynierowie, byli, moim zdaniem, bardziej odpowiedzialni. Solidni, punktualni, dobrze zorganizowani. Do lotnictwa trafiało też mniej przypadkowych ludzi. Była większa selekcja, a zawód pilota wymagał nie tylko umiejętności, lecz także określonego charakteru.

Przez lata zmieniły się samoloty, awionika i procedury. Człowiek siedzący dziś w kokpicie musi ufać technologii. Na ile rzeczywiście może?
To też zależy od samolotu. Na przykład Airbus poszedł w takim kierunku, że „pobocze" tego, co robi pilot, analizuje komputer i nie zawsze pozwoli zrobić pilotowi to, co sprzęt elektroniczny uzna za złe czy niebezpieczne, coś co zagraża prawidłowemu lotowi. Na Boeingu praktycznie tego nie ma. W Boeingu pilot może znacznie więcej. Tak więc, od producenta samolotu zależy cała filozofia podejścia do pracy sprzętu. Jednak mogę śmiało powiedzieć, że nigdy automatyka nie może „wziąć góry" nad człowiekiem. W razie sytuacji zagrożenia życia pasażerów, zawsze człowiek ma ostateczną decyzję.

Przykładem może być oparty na faktach film z Tomem Hanksem „Sully". Przedstawiono tam awaryjne lądowanie samolotu amerykańskich linii na rzece Hudson, do którego doszło 15 stycznia 2009 r.
Tak, ten film pokazuje, jak amerykański pilot Chesley Sullenberger uratował wszystkich pasażerów i załogę Airbusa A320 po zderzeniu ze stadem dzikich gęsi, przez co zostały uszkodzone oba silniki. Sam bez wyraźnej zgody wieży kontrolnej podjął trudną próbę wodowania samolotu na rzece, w centrum Nowego Jorku, która ostatecznie okazała się udana.

> Latanie samolotem jest najbezpieczniejszym środkiem transportu na świecie. Wszystkie badania i statystyki pokazują, że szansa na katastrofę jest ekstremalnie niska i wynosi zaledwie ułamek promila na milion lotów.

Tu jest wyraźnie ukazane, że decyzja pilota była prawidłowa. Choć zaznaczyć trzeba, że samowolka pilota jest niedopuszczalna. Stąd nad pilotem Sullenbergerem odbył się sąd, który ostatecznie uznał zasadność jego decyzji.
Piloci są szkoleni na takie ekstremalne sytuacje. Co pół roku muszą się poddawać testom na symulatorach – to jest m.in. coś, czym i ja się zajmuję. Symulator to jest praktycznie dokładny imitator samolotu, który pozwala pilotom bezpiecznie odtwarzać skrajne sytuacje i awarie, których przetrenowanie w prawdziwym samolocie byłoby zbyt ryzykowne lub wręcz niemożliwe.
Są tam symulowane różne scenariusze ewentualnych komplikacji, jakie mogą wydarzyć się w czasie lotu. Np. analizujemy pożar na pokładzie, dym w kokpicie, awarię silnika, ekstremalne zjawiska pogodowe, awarie systemów hydraulicznych itp.
Piloci cały czas są egzaminowani, muszą cały czas utrzymywać wysoki poziom wiedzy technicznej. I z całą świadomością podkreślam, że pilot kompanii lotniczej wie, jak się zachować w niebezpieczeństwie. Ja żartuję na szkoleniach, że jak się obudzi lotnika w środku nocy i zapyta go o pewne wyuczone rzeczy, to on bez zająknięcia powie, jak trzeba działać.

Czy po prawie pół wieku pracy w lotnictwie nadal zdarza się Panu patrzeć na samolot z takim samym zachwytem jak na początku?
Może zacytuję moją żonę Danusię. Ona zawsze powtarza: „Ty nie przepracowałeś w życiu ani jednego dnia". Bo to nie jest dla mnie praca, to jest moje ukochane hobby! A hobby to nie praca.

Za parę dni znów Pan wyrusza w przestworza. Co to jest za wyprawa?
Wylatuję do Bratysławy. Stamtąd mam przebazować samolot do Johannesburga.

Życzymy wielu jeszcze szczęśliwych lotów! ■

Samolot kompanii Star 1, 2009 r. „Porównywanie dawnych i współczesnych samolotów chyba nie ma większego sensu" **Fot. archiwum prywatne**

eprasa.pl d33df1a7a6

Koniec lata w Pokrojach. W dawnym majątku von Roppów

Jarosław Tomczyk

Po latach niebytu pałac w Pokrojach to dzisiaj tętniące życiem „żywe muzeum". – Przyjeżdżają do nas turyści z całego świata, wycieczki oprowadzamy w kilku językach – chwali się Eligius Skeiveris, jeden z przewodników. Zajrzał do Pokrojów także „Kurier Wileński" i przyznajemy – dnia było mało, by skorzystać ze wszystkich jego atrakcji.

Pałac w Pokrojach to przykład późnego klasycyzmu **Fot. Jarosław Tomczyk**

Przez Wiłkomierz z Wilna to ok. 180 km, nieco ponad dwie godziny jazdy samochodem. W sam raz na jednodniową letnią wycieczkę, ale śmiało można pomyśleć i o całym weekendzie, bo w Pokrojach nie tylko jest co robić, ale i gdzie się zatrzymać. A poza wszystkimi standardowymi atrakcjami do 13 września trwa jeszcze fantastyczny Letni Festiwal Kwiatów, największe tego typu wydarzenie w Europie Północnej.

Zrodzony z miłości

Zespół pałacowy w Pokrojach znajduje się dwa kilometry pod miastem. – Budowały go cztery pokolenia rodu von Roppów – mówi Eligius Skeiveris. – Inwestycję rozpoczął Dietrich Theodor Wilhelm von der Ropp. Człowiek ten miał w życiu sporo szczęścia. Przybył na te ziemie z zamiarem ich kupna. W odwiedzinach u władającego wówczas majątkiem hrabiego Münstera poznał jednak jego córkę Aleksandrę, wybuchła między nimi miłość od pierwszego wejrzenia, która w 1786 r. zakończyła się ślubem. Aleksandra wniosła majątek jako wiano, Dietrich Theodor nie tylko więc nie wydał pieniędzy na zakup, a jeszcze oprócz ziemi zyskał żonę, z którą przeżył szczęśliwie prawie 40 lat. Zarządzał 30 tys. ha ziemi ornej oraz lasów i właśnie tu postanowił zbudować pałac, siedzibę swojego rodu.

Roppowie trafili do Pokrojów z terenów dzisiejszej Łotwy, na które w 1201 r. przybyła z Bremy dwójka rycerzy, protoplastów ich rodu. Z ziem łotewskich ściągali też budowniczych, którzy specjalizowali się w pracach w kamieniu. Spod ich ręki wyszedł dwupiętrowy pałac w stylu późnoklasycystycznym i ponad 40 dworskich zabudowań, m.in.: stajnie, spichlerze, kuźnia, gorzelnia, karczma, browar, oficyny czy mleczarnia.

– To była inwestycja na europejskim poziomie – tłumaczy Skeiveris. – Syn Dietricha, Johann Otto, został wysłany do Rzymu, gdzie poznał najnowsze trendy. Po powrocie »

eprasa.pl d33df1a7a6

przeniósł te wzorce na ówczesne ziemie Imperium Rosyjskiego. Był kolekcjonerem dzieł sztuki, sprowadzał do Pokrojów dzieła z Włoch, Hiszpanii, Francji. Wśród jego zbiorów znajdowały się nawet rysunki samego Leonarda da Vinci.

Majątek nie ucierpiał w trakcie I wojny światowej, ale po reformie rolnej na Litwie z 1922 r. został rozparcelowany, von Roppom pozostało jedynie 300 ha gruntu. W 1940 r., po wkroczeniu Sowietów, cały majątek znacjonalizowano. Rodzina wyjechała do Niemiec na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow, zabierając ze sobą jedynie minimalny bagaż podręczny.

Sowieccy urzędnicy sporządzili oficjalny rejestr ruchomości i dzieł sztuki znajdujących się w pałacu. Gromadzona przez pokolenia kolekcja obrazów i rzeźb została skonfiskowana i wywieziona do litewskich muzeów, głównie w Kownie i Szawlach.

W trakcie II wojny zabudowania nie uległy zniszczeniom, po masowej kolektywizacji mieściły się tu biura kołchozu oraz technikum rolnicze.

Przywracanie świetności

– Gdy Litwa w 1990 r. odzyskała niepodległość, przyjęto ustawę o zwrocie majątków prawowitym właścicielom – kontynuuje nasz przewodnik. – Przyjechali do Pokrojów liczni potomkowie von Roppów z całego świata i zdecydowali o przekazaniu swoich dawnych włości państwu litewskiemu. Najwyraźniej doszli do wniosku, że skoro państwo doprowadziło go do stanu ruiny, to niech i ono się martwi, żeby go z tej ruiny podnieść. Ostatecznie Samorząd Rejonu Pokroje wydzierżawił majątek na 99 lat prywatnemu przedsiębiorcy Giedriusowi Klimkevičiusowi, który zobowiązał się do jego rewitalizacji. I tak od 16 lat intensywnie pracujemy, by przywrócić świetność tego miejsca.

Gdy spaceruje się po pałacowych pomieszczeniach z Eligiusem Skeiverisem, odzianym w strój barona, w którym oprowadza wycieczki, trzeba przyznać, że to przywracanie świetności idzie gospodarzom wielce zadowalająco. Oczywiście wyposażenia kolejnych sal i pokoi nie stanowią oryginalne meble, które należały do właścicieli, ale pochodzące z epoki przedmioty skupowane pieczołowicie na rozmaitych aukcjach. Co ważne, zwiedzający mają możliwość wielu z nich dotknąć, zobaczyć, jak działały nowinki techniczne z końca XIX i początku XX w., choćby posłuchać dźwięków płynących z polifonu, co wywołuje duże wrażenie.

– Pałac jest stosunkowo nieduży, liczy raptem 33 pokoje – mówi Skeiveris. – Nie wszystkie są udostępnione do zwiedzania, bo na piętrze, gdzie pokoje miały liczne dzieci von Roppów, dzisiaj działa hotel. Zwiedzający mogą jednak zobaczyć m.in.: salę balową, salę przyjęć, gabinet pana domu czy gabinet lekarski, który także był na terenie pałacu. Rodzina przywiązywała bardzo dużą wagę do medycyny, dzięki czemu tylko troje dzieci z kolejnych pokoleń nie dożyło wieku dojrzałego. W tamtych czasach, wysokiej umieralności dzieci, było to bardzo dużym sukcesem.

W morzu kwiatów

Normalny bilet wstępu na teren kompleksu to 20 euro (są też tańsze dla młodzieży czy seniorów). W cenie – oprócz pałacu, którego zwiedzanie z przewodnikiem po litewsku, rosyjsku, angielsku lub niemiecku to dodatkowe 5 euro – jest ok. 40 różnorakich miejsc i warsztatów. Można zajrzeć choćby do garaży, zasiąść za kierownicą dawnych automobili czy wozów strażackich. Ciekawym doświadczeniem jest wizyta w browarze oraz gorzelni, gdzie można spróbować wódki wyrabianej z piwa.

Po tym doświadczeniu warto ochłonąć, przyglądając się pracy pszczelarzy i próbując lokalnych miodów. Można wstąpić także do perfumerii czy pracowni krawieckiej. Niezwykłym doświadczeniem jest wizyta u fotografa. Zrobienie sobie zdjęcia w stroju sprzed półtora wieku, aparatem z tamtej epoki, a następnie udział przy jego wywołaniu to szalenie sympatyczne i cieszące się dużym wzięciem doświadczenie.

– Żeby fotografia wyszła dobrze, trzeba przez trzy sekundy stać absolutnie nieruchomo – tłumaczy z uśmiechem fotograf Kęstutis Kumža, który robiąc zdjęcie, chowa się pod czarną chustą. – Wywołanie trwa siedem minut, a efekt jest naprawdę jak sprzed ponad stu lat – zapewnia.

Wielką przyjemnością jest przejażdżka po majątku powozem lub automobilem. Można podziwiać w jej trakcie gigantyczne florystyczne rzeźby i mnóstwo przeróżnych kompozycji kwiatowych będących od czerwca elementem Letniego Festiwalu Kwiatów.

Festiwale kwiatowe odbywają się w Pokrojach dwa razy w roku. Pierwszy wiosną, od połowy kwietnia do mniej więcej końca maja. Na obszarze pałacowego parku rozkwitają wówczas tysiące tulipanów, narcyzów i hiacyntów. Co ważne, kompleks pałacowy w Pokrojach czynny jest cały rok, przez wszystkie dni tygodnia.

Pałacowa sala przyjęć. Przewodnik odziany w strój barona **Fot. Jarosław Tomczyk**

eprasa.pl d33df1a7a6

Wędkarstwo to zdradziecka pasja — nie obejrzysz się, a porwie cię bez reszty! **Fot. archiwum prywatne rozmówcy**

„Świat przestaje istnieć". Tak Polacy nad litewskimi wodami ujarzmiają króla wód!

Roland **Antropikas**

Można o nich mówić „polska sekta rybacka". Bo i polska, i rybacka, a i sekta. Mają swój żargon, a nawet wierzenia – np. że trzeba wlać trochę wódki do jeziora, a obłaskawisz „króla wód". Ale nie tylko. „Rybaczenie" czy „rybałka", czyli wędkarstwo, wędkowanie jest pasją przenoszoną z pokolenia na pokolenie, o czym przekonują nas rozmówcy.

To nie jest żadne formalne stowarzyszenie ani klub sportowy – to spora, całkiem zgrana grupa wileńskich Polaków, których łączy jedno: żeby tylko wyrwać się nad wodę, kiedy jest wolna chwila.

Zapach zanęty – nie mylić z przynętą, zanęta po prostu „przyzwyczaja" ryby do danego miejsca na jeziorze – poranna mgła nad Wilią i to uczucie, kiedy po tygodniu pracy w mieście wchodzi się w zupełnie inny, cichy świat. No i oczywiście wszyscy się znają, mają swój żargon. To wystarczy, żeby zacząć żartobliwie nazywać towarzystwo „sektą".

Przyjrzeliśmy się, jak zaczynały się przygody wileńskich wędkarzy. Zaczniemy od najbardziej doświadczonych.

Anatol: Emocje były szalone

Dla naszego rozmówcy, Anatola, ta przygoda zaczęła się ponad cztery dekady temu, w zupełnie innych realiach, kiedy nad litewskimi wodami królował jeszcze prosty, domowy sprzęt.

– Zacząłem „rybaczyć" w 1979 r., kiedy miałem 8 lat – wspomina pan Anatol. – Mój ojciec pokazał mi, jak to trzeba robić. Pamiętam, pojechaliśmy wtedy do mojej cioci w miejscowości Orany (lit. Varėna). Ojciec zrobił mi prostą wędeczkę z jałowca, niewielką, żyłka była na końcu nawiązana. Nakopaliśmy robaków i poszliśmy nad jezioro. Ojciec miał drugą, lepszą wędkę – bambusową – przywołuje wspomnienia nasz rozmówca.

To właśnie wtedy, nad brzegiem jeziora pod Oranami, na ten jałowcowy kij złapała się pierwsza ryba.

– Okoń! Nie był wielki, ale na tamten moment emocje były po prostu szalone – opowiada wędkarz.

Pytamy, co na to żona, czy miała coś przeciwko nowemu zapałowi. Ta od początku wspierała tę pasję – »

eprasa.pl d33df1a7a6

w końcu świeża ryba trafiała wprost na patelnię. Z czasem dziecięca zabawa przerodziła się w styl życia. Na pytanie, dlaczego akurat wędkarstwo, a nie np. pszczelarstwo czy inne hobby, odpowiedź jest prosta.

– No, wciągnęło mnie to. A na pszczoły to trzeba nie w mieście mieszkać, u mnie nawet myśli takiej nie było.

Dziś pan Anatol najchętniej wybiera feeder i spokojne przesiadywanie nad brzegiem. Feeder (od angielskiego słowa „feed" – karmić) to specjalna metoda łowienia ryb. Dla większości „rybałka" to zarzucenie wędki i wyciąganie, gdy spławik pójdzie pod taflę wody. W przypadku feedera zamiast spławika rzuca się skrzynkę z zanętą przyciągającą ryby oraz z haczykiem obok. Gdy ryba bierze, szczytówka wędki – czyli sam wierzchołek – drży i wiadomo, że można wyciągać.

Brzmi skomplikowanie? Dla pasjonatów to odpoczynek!

– Na „rybałkę" jeżdżę przede wszystkim odpoczywać. Podoba mi się czas spędzać w spokoju: siedzę, medytuję w ciszy, patrzę na piękny krajobraz i łowię ryby – rozmarza się Anatol. Nie odstrasza go nawet zimowy mróz.

Łowić ryby w Oświu

Po raz pierwszy na lód wszedł po wojsku z kolegą Markiem i od tamtej pory zimowa „rybałka" stała się stałym wydarzeniem w roku. Co ciągnie człowieka na zamarznięte jezioro przy kilkunastu stopniach na minusie?

– Hazard! Mróz! Na lodzie możesz podejść na wodzie, gdzie chcesz, w jakie chcesz miejsce i tam łowić.

I choć przez lata łowił w różnych miejscach, serce zawsze wraca w te same strony.

– Rzeka Wilia. Jak tylko jestem „na wiosce", to każde „wychodne" idę tam łowić. A oprócz Wilii są też inne ulubione miejsca... Rejony święciański i malacki. Jest takie jezioro Nikajis – bardzo ładne, piękne miejsce i przyroda wspaniała. No i oczywiście Oświe. Najdłuższe jezioro na całej Litwie – opowiada.

Od kijka z jałowca do nowoczesnego sprzętu

Wędkarstwo na Litwie mocno się zmieniło od czasów jałowcowego kija. Kiedyś przepustką nad wodę były karty wyrabiane w Sowieckim Towarzystwie Myśliwych i Wędkarzy, a sprzęt zdobywało się „sposobem". Dzisiaj wejście w to hobby jest prostsze.

– Jeśli ktoś jest całkowicie zielony i chce zacząć łowić na Litwie, sprawa jest prosta – tłumaczy wędkarz. – Najpierw telefon: wchodzisz na ALIS [System Wydawania Pozwoleń Ekologii, lit. Aplinkosaugos leidimų išdavimo sistema – przyp. red.], kupujesz pozwolenie za parę euro i głowa czysta przed „aplinkosaugą" [służbami ochrony środowiska – przyp. red.]. Ale najważniejsze – na pierwszy raz pojedź z kimś, kto już umie łowić. On pokaże, jak zawiązać haczyk i założyć robaka. Nie kupuj drogiego sprzętu. Weź prostą wędkę, pojedź z kolegą nad jezioro i zarzuć. Jak poczujesz pierwszą rybę na wędce, od razu zrozumiesz, o co w tym chodzi! – zachęca rozmówca.

Sprzęt w ciągu dekad się zmienił. Ale zmianie uległo także podejście ludzi do wody i do samej „rybałki".

– Przyroda jaka była ładna, taka i została – zauważa pan Anatol. – Ale sam „podchód" do łowienia i te wszystkie sprzęty – no absolutnie wszystko się zmieniło! Dzisiaj rybę złapać wcale nie jest łatwiej. Kto umie łapać, ten i wtedy złapał, i teraz złapie. Tylko różnica taka, że kiedyś najczęściej rybę brało się do siatki, a teraz coraz więcej ludzi po prostu „odpuszcza" to, co złowi. No i ochrona środowiska mocniej pilnuje, to i ryb w wodzie trochę przybyło.

Co sam sądzi o „odpuszczaniu"? – Coś tam „odpuszczam", a coś i do domu wezmę usmażyć, bo dzika ryba jest po prostu bardzo smaczna. Najlepsza? Zakręcona mocno do folii [aluminiowej – przyp. red.], dobrze przyprawiona i położona prosto na gorące węgle z ogniska. Nic smaczniejszego nie ma!

– W jednej sekundzie zapominasz o robocie, o bolących plecach i że stoisz w mokrych butach. Czujesz taką adrenalinę, jakby cały świat przestał istnieć. Dla tej jednej sekundy warto pół życia nad wodą przesiedzieć!

Rytuały nad wodą i wodny król

Warto przyjrzeć się samemu towarzystwu. Choć wędkarstwo kojarzy się z indywidualnym przesiadywaniem z wędką, wileńscy pasjonaci tworzą zgraną paczkę. I to nie tylko przez wspólne hobby.

– No pewnie! Wędka to jedno, ale my przecież normalne ludzie – mówi Arnold Antropikas.

– Czasami skoczymy razem na piwo, pogadamy nie tylko o rybach, ale i o życiu. A jak jest okazja, jakieś urodziny czy święto, to i na balu się spotkamy, pohulamy całą kompanią. Łączy nas po prostu dobre koleżeństwo – jak już z kimś odsiedzisz tyle nocy nad wodą przy jednym ognisku, to i w mieście zawsze jest o czym pogadać. »

Niektórzy wędkarze mogą pochwalić się całymi dekadami w „branży" (zdjęcie z 2013 r.)
Fot. archiwum prywatne rozmówcy

eprasa.pl d33df1a7a6

Oczywiście najbardziej cieszą osobiste rekordy **Fot. archiwum prywatne autora**

Nie brakuje im też własnych tradycji, zwyczajów, a nawet starodawnych przesądów przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Inny rybak, Waldemar Juchniewicz, dzieli się „wierzeniami rybaków".

– Dobrym znakiem jest wyjechać z domu tak, żeby absolutnie nikt ci nie życzył udanej „rybałki" ani nie powiedział: „dobrej ryby" – zaznacza Waldemar Juchniewicz.

Nad samą wodą wchodzą już w grę jeszcze dawniejsze rytuały, co podkreśla Ewald Olechnowicz, również należący do tej samej „sekty rybackiej".

– Niejeden stary rybak o nich wie. Jest taka legenda, że na dnie każdego jeziora mieszka u nas tzw. wodianoj, czyli wodny król – opowiada Ewald Olechnowicz.

– Rytuał polega na tym, że jak przyjeżdżasz nad wodę, trzeba trochę ulać mu alkoholu do jeziora. Wtedy wodianoj robi się dobry i zaczyna się udane branie. Drugi podstawowy przesąd to trzy razy splunąć na przynętę przed zarzuceniem kruczka. No i żeby mieć dobre branie przez cały dzień, pierwszą rybę powinno się odpuścić, jaka by wielka nie była. Choć jak ktoś złapie giganta, to mało kto się na to decyduje!

Młodzi rybacy podkreślają jednak, że w tym wszystkim najważniejszy jest reset od codzienności.

– Jest takie powiedzenie, że czas spędzony na „rybałce" nie wlicza się do dni życia – czyli im więcej tam przesiadujesz, tym dłużej będziesz żyć. Dla mężczyzny to przede wszystkim odpoczynek, bliskość z przyrodą i spokój od codziennej rutyny – dodaje Ewald.

> Ewald Jodko: Najtrudniej jest wysiedzieć na miejscu, jak nic nie „kluje", a jeszcze i komary kąsają. Wciągnęło mnie to uczucie, kiedy wędka zaczyna „chylać się" w rękach i czujesz, że na drugim końcu coś jest. I ta cisza nad wodą, żarty, odpoczynek.

Szybziki, fiodary i biździluszki

Jak każda zgrana paczka, wileńscy wędkarze mają swój własny styl rozmawiania i słownictwo, które dla kogoś z zewnątrz może brzmieć tajemniczo. I jak większość żargonów na Wileńszczyźnie, czerpie całymi garściami z wielu języków.

– Mamy swoje własne określenia – przyznaje Waldemar Juchniewicz.

– Na przykład taka mała „biździluszka" to u nas stoper albo karabinek. Małe rybki, które tylko przeszkadzają złapać coś większego, nazywamy „szybziki". Mamy też własne nazwy na sprzęt – wędka do łowienia z dna to dla nas „fiodar". Ale tak samo „fiodarem" nazywamy dużego leszcza.

Choć nad wodą każdy marzy o złowieniu ryby życia, w tej wileńskiej grupie nie ma miejsca na zazdrość.

– Nigdy nie miałem w sobie zawiści, zawsze cieszę się razem z innymi – podkreśla Ewald Olechnowicz.

– Często jest tak, że największe szczęście mają początkujący. Mogą nie mieć profesjonalnego sprzętu, a bardzo często obławiają starych rybaków! Z mojej strony jest zawsze tylko wsparcie i kibicowanie, niezależnie od tego, kto wyciągnie największą rybę dnia.

Ewald: Szalone emocje!

Zaczepiliśmy też całkiem świeżego rybaka w najciekawszym w „karierze rybaka" momencie – podczas pierwszego połowu.

– Na początku jechałem tak po prostu – pogadać, poprzebywać na świeżym powietrzu. Sam nic nie umiałem: ani jak kruczek [haczyk – przyp. red.] przywiązać, ani jak prawidłowo wędkę zarzucić. Wszystko na miejscu mi pokazali. Ale jak złapałem pierwszą rybę, to były szalone emocje! – pochwalił się w rozmowie z „Kurierem Wileńskim" Ewald Jodko.

Warto zauważyć, że „szalone emocje" to jest dokładnie to samo, co wcześniej przywoływał nasz rozmówca Anatol, gdy opisywał pierwszą „rybałkę" w 1979 r. Widać pewne rzeczy są niezmienne.

– Najtrudniej jest wysiedzieć na miejscu, jak nic nie „kluje" [nic nie bierze – przyp. red.], a jeszcze i komary kąsają. Wciągnęło mnie to uczucie, kiedy wędka zaczyna „chylać się" [giąć się – przyp. red.] w rękach i czujesz, że na drugim końcu coś jest. I ta cisza nad wodą, żarty, odpoczynek – wspomniał nasz rozmówca.

– Myślę, że to dopiero początek! Parę dni minęło, a ja już myślę, żeby wędkę kupić i sprawdzam, jaka będzie pogoda. To jest taki dobry wypoczynek od pracy i superowe spędzanie czasu razem z przyjaciółmi na, jak to mówimy, „rybałce" – zaznaczył.

Wniosek prosty – lato się jeszcze nie skończyło, warto z pogody korzystać. Najlepiej nad wodą!

Artykuł powstał w ramach praktyk w redakcji „Kuriera Wileńskiego" (dziennikarz prowadzący praktyki: Apolinary Klonowski).

eprasa.pl d33df1a7a6

Cotygodniowe ogłaszanie zwycięzców. Kupon z rozwiązaniem krzyżówki można nadsyłać do 28 sierpnia, na adres redakcji: „Kurier Wileński" Birbynių g. 4A LT-02121 Vilnius lub pocztą elektroniczną: j.balkiewicz@kurierwilenski.lt z dopisanym w wiadomości imieniem i nazwiskiem nadawcy. Wyniki zamieścimy 5 września.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z 8 SIERPNIA

Poziomo: CHOMIK - WŁODARZ - EWELINA - NAREW - TORTURA - ORBITA - SKARBEK - ORDA - KRUSZYNA - KWIK - NAOMI - SATYNA - WERSAL - RWETES - UMOWA - TRAKTAT - ZAMEK - EMOCJA - KOMORA - HANDEL - PARABANKI - AIDA - LAMPAS - REGULAMIN - PORADA - KALKA - BANKOMAT - SOJA - DATA - OMAR - RYAN - KOMETA - KARY - RATA - ESEJ - TRAŁ - OSKARD

Pionowo: HENRYKA - WTYKA - ROSOMAK - POWAB - ROVER - ORDER - MERITUM - TAŚMA - GABARYT - BILET - SIWEK - OBŁUDA - KIWACZ - ESTERA - LANDARA - AMANDA - KANAŁ - WATSON - SITO - MŁOT - OKRASA - CHILI - MAKAO - CONRAD - ALUZJA - ANKA - TRAKT - MAANAM - ATOMEK - JAKUB - WYŁOM - DIPOL - MESA - REKIN - WENEDA - KRATER - SZLAK - KASAK - LASKA - RAJD

Hasło: Błogie chwile radości

Pierwszy Czytelnik, który nadeśle prawidłowe rozwiązanie, będzie ogłoszony w następnym numerze magazynu „Kuriera Wileńskiego" za 2 tygodnie. Nadesłanie odpowiedzi na wskazany wyżej adres jest uznane za jednoczesną zgodę na opublikowanie imienia i nazwiska zwycięzcy w formie podanej przez Czytelnika. Zalecamy też pochwalenie się miejscowością zamieszkania!

Zwycięzca: Jadwiga Jachimowicz (Wilno)

Pod uwagę nie bierze się zgłoszeń pracowników redakcji oraz członków ich rodzin.

Ułożył Roman Głowacki

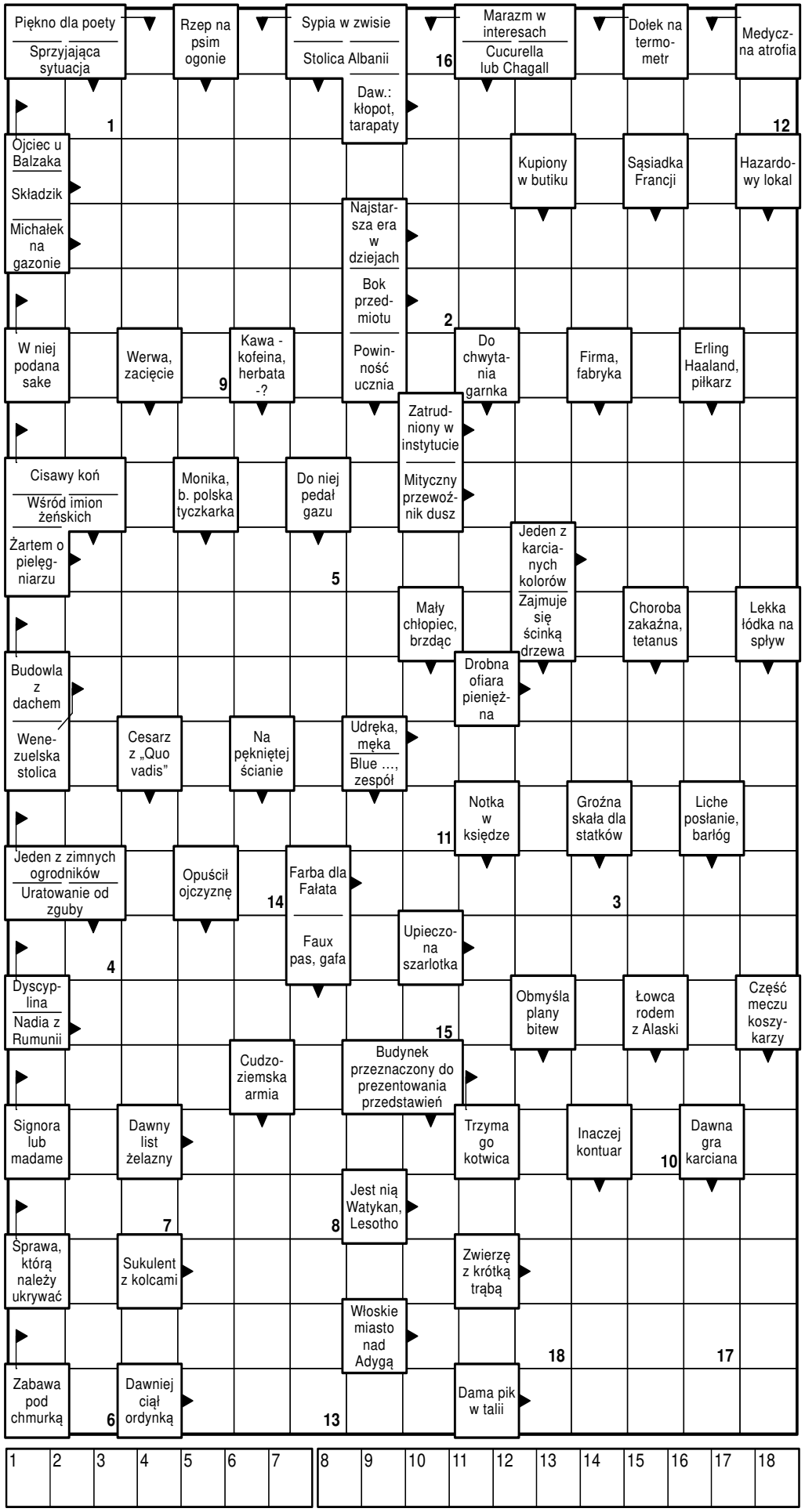

eprasa.pl d33df1a7a6

GOODBYE SUMMER *Party*

08.28

20:00

RUDAMINOS PARKE
(Vilniaus g. 2)

SPIRIT OF SMOKIE

SISTERS ON WIRE

RITMAS KITAIP

GABRIELĖ ZAGARENKO
IR GRUPĖ MULTIKULTŪRA

Rudaminos kultūros centras

Vilniaus rajono savivaldybė

eprasa.pl d33df1a7a6